



Liz Fielding

Powrót wiosny



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jacqui Moore starała się przeniknąć wzrokiem nisko zawieszono, kłębiaste chmury, by utrzymać swój bezcenny samochód na krętej, obrzeżonej kamiennym murem drodze, zbyt wąskiej, by czuła się za kierownicą swobodnie. Nie po raz pierwszy tego dnia żałowała, że przystała na tę propozycję.

- Tylko na chwilę zaopiekujesz się dzieckiem, Jacqui. To nic trudnego dla osoby tak doświadczonej jak ty.

- Nie jestem nianią. Już nie.

- To tylko dwie godziny - ciągnęła Vickie Campbell, jakby Jacqui w ogóle się nie odzywała. - Nie prosiłabym cię o to, gdyby nie zupełnie wyjątkowa sytuacja. Selina Talbot jest naszą specjalną klientką.

- Selina Talbot?

- Nareszcie mnie słuchasz - zauważyła Vickie z satysfakcją.
- Wiesz, że zaadoptowała osierocone dziecko uchodźców?

- Tak, widziałam jej zdjęcie w „Celebrity”.

- Szukamy dla niej kogoś naprawdę dobrego.

- Tak? - Jacqui zachnęła się gwałtownie. - A więc dlaczego jedna z twoich cudownych nian nie zajmie się jej małą córeczką?

- Właściwie mam już odpowiednią kandydatkę, ale jest na wakacjach.

- Na wakacjach! Co za ciekawy zbieg okoliczności. Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale prosiłaś mnie, żebym do ciebie wpadła w drodze na lotnisko. - Jacqui położyła znamienne nacisk na ostatnie słowo. - Powiedziałaś, że masz do mnie ważną sprawę.

- Ach tak. - Vickie otworzyła szufladę biurka i podała jej grubą kopertę. - Od państwa Gilchrist.

Jacqui rozdarła kopertę, opatrzoną znaczkiem z Hongkongu, i wysypała zawartość na dłoń. Wizytówka spadła na podłogę. Podniosła ją i z lękiem odwróciła. Przeczytała wiadomość.

Mrugając gwałtownie, pochyliła głowę, jakby chciała wymazać ten widok sprzed oczu.

- Co się stało? Czy Gilchristowie przysłali ci jakąś pamiętkę?

- Coś w tym rodzaju - wykrztusiła Jacqui.

Vickie wyjęła jej z ręki mały przedmiot.

- Och, to bransoletka na breloczki. Zaczęli kolekcję od maleńkiego serduszka. Jakie śliczne... - Odwróciła bransoletkę do światła i zmrużyła oczy. - Tu jest coś wygrawerowane. ... „Zapomnij i uśmiechnij się”. - Zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy?

- To znany cytat z Christiny Rossetti - mruknęła Jacqui.

- Lepiej zapomnieć i uśmiechnąć się, niż pamiętać i się smucić.

- Och, tak... Rozumiem. - Potem Vickie dodała: - Może to i dobra rada.

- Tak - przyznała Jacqui.

- Wiem, jak bardzo przeżyłaś jej utratę, Jacqui - powiedziała Vickie. - Po tym, co dla niej zrobiłaś, ona nigdy cię nie zapomni..

Dobrze wiedziała, ile zrobiła. Już nigdy więcej nie podejmie takiego ryzyka.

- Zapaść?

Jacqui wyciągnęła rękę, a Vickie zapięła jej bransoletkę. Byłoby dziwne, gdyby schowała ją do koperty.

- No cóż - powiedziała - już pójdę.

- Nie spiesz się. Twój samolot odlatuje dopiero za parę godzin. A ponieważ kupiłaś bilet na tanią linię, wygląda na to, że potrzebujesz pieniędzy. Od miesiący nie pracujesz.

- Od miesiący nie pracuję dla ciebie - poprawiła ją Jacqui.

- Tak jak zamierzałam. Ale zatrudniłam się w pewnym miłym, małym biurze. Ustalone godziny pracy, wolne weekendy i całkiem niezłe pieniądze.

Vickie z niedowierzaniem przewróciła oczami.

- Poprosili mnie, abym została - dodała Jacqui. - Na stałe.

- Nie mogło być tak wspaniale, skoro się wycofałaś.

Jacqui doskonale wypełniała swoje obowiązki, jednak praca była nużąca i monotonna. Nienawidziła każdej spędzonej w biurze minuty, lecz potulnie harowała przez sześć miesięcy. No i wreszcie miała dość. Będzie musiała spróbować czegoś innego. Może jej rodzina miała rację? Dwa tygodnie wakacji da jej czas na podjęcie decyzji, co zrobić z resztą życia.

- Będziesz przejeżdżać obok tego domu - nalegała Vickie, wdzierając się w jej myśli.

- Doprawdy? Autostrada biegnie prosto przez Little Hinton, nieprawdaż?

- Niezupełnie, ale niewiele trzeba zjechać. Wieś znajduje się najwyżej osiem kilometrów od najbliższego zjazdu.

- Osiem? Chyba w linii prostej!
- No, może dziesięć. Pokażę ci na mapie.
- Dziękuję, i tak tam nie wstąpię.
- Będę z tobą szczerą...
- Co za miła odmiana.
- Liczę na ciebie. Och, błagam cię... Selina Talbot przyjeżdża lada moment. Muszę mieć czas na znalezienie kogoś odpowiedniego.

- Jeśli lubisz działać w stylu Machiavellego, powinnaś mieć plan awaryjny.

- Proszę cię. To tylko przelotne zajęcie. Nie zostawisz przecież małej, zapłakanej dziewczynki w moim biurze, prawda?

Jacqui tak mocno zacisnęła dłoń wokół łańcuszka, aż zaczęła odczuwać ból.

- Przeżyję to.
- Proszę cię, Jacqui. Mam spotkania, wywiady...
- I biuro pełne pracowników.
- Którzy są bardzo zajęci. Po prostu odwieź Maisie do domu jej babci, a potem możesz jechać do ciepłych krajów i na dwa tygodnie zapomnieć o naszym deszczu.
- Myślisz, że wzbudzisz we mnie poczucie winy? - spytała Jacqui z nonszalancją.

Wprawdzie wakacje nie były jej pomysłem, tylko rodzina na nie nalegała, ale Jacqui i tak już dojrzywała do tej myśli. Cóż, każdego ranka przeglądała się w lustrze. Powinna wyjść i zostawić Vickie z całym tym jej bałaganem.

- Zapłacę ci podwójnie.
- Musisz być naprawdę zdesperowana.
- A gdy wrócisz - ciągnęła Vickie, jakby Jacqui w ogóle się nie odzywała - pogadamy o twojej przyszłości.

- Nie mam żadnej przyszłości - oświadczyła gwałtownie Jacqui, podejrzewając, że własne sprawy wymykają jej się spod kontroli.

Zgodziła się przyjechać do agencji po drodze na lotnisko tylko po to, by powiedzieć Vickie prosto w oczy, żeby na zawsze wykreśliła ją ze swoich rejestrów. Ostatecznie i nieodwołalnie. Koniec z nagrywaniem na jej sekretarkę kuszących propozycji pracy.

W słonecznej Hiszpanii będzie przynajmniej z dala od takich pokus.

- W każdym razie jako opiekunka do dzieci - dodała, kierując się do drzwi. - Przyślę ci pocztówkę.

Vickie skoczyła na równe nogi, gotowa zagrozić Jacqui drogę do wyjścia, gdy w drzwiach stanęła Selina Talbot - wysoka, piękna blondynka, warta tych milionów dolarów, które zarobiła, pracując jako topmodelka w znanej firmie kosmetycznej.

Maisie, jej sześcioletnia adoptowana córka - znana z setek kolorowych zdjęć w magazynach, przedstawiających „szczęśliwą rodzinę” - stała u *jej* boku.

Mała dziewczynka nie miała na sobie normalnego, wygodnego ubrania, jakie włożyłaby jej na podróż każda normalna niania. W białej, szerokiej sukience z tiulu, przepasanej szarfą - stanowiącej znakomity kontrast dla skóry w kolorze ciemnej czekolady - oraz w białych rajstopach i satynowych pantofelkach wyglądała jak mała księżniczka. Całości dopełniała błyszcząca tiara na czubku pokrytej lokami głowy. Brakowało tylko skrzydeł.

Jednym paluszkim trzymała matkę za palec. W drugiej ręczce miała białą torbę z lnu, na której widniała satynowa aplikacja z jej imieniem. Logo designera wyhaftowane ta-

kim samym kolorem świadczyło, że było to unikalne dzieło wykonane dla małej modelki.

U większości znanych Jacqui małych dziewczynek - a poznała ich sporo - w pięć minut taki strój byłby brudny i wygnieciony.

Ale Maisie Talbot prezentowała się jak lalka z wystawy.

Większość dzieci, które zostawały pod opieką obcych ludzi - a Jacqui mnóstwo razy była tą „obcą osobą” - z rozpaczy czepiałyby się swoich matek.

Ale Maisie stała spokojna, milcząca i opanowana. Selina Talbot zaś pocałowała powietrze nad głową córki i - wysłuchawszy Vickie, która szybko przedstawiła Jacqui Moore jako „doświadczoną nianię, o której pani opowiadałam” - podała jej białą torbę podręczną i wyszła, nie okazując żadnych oznak matczynego niepokoju.

Jacqui, pod wpływem nagłego współczucia dla tego dziecka-lalki, zapragnęła wziąć małą na ręce i uściskać. Jednak impuls zgasł, gdy spojrzała w oczy Maisie. Odbijał się w nich wystudiowany chłód, taki sam jak w spojrzeniu jej matki na paryskich wybiegach.

- Chciałabym już iść, Jacqui - odezwała się Maisie wyniośle i podeszła do drzwi, czekając, aż ktoś je dla niej otworzy. Potem ze zniecierpliwieniem uderzyła stopą w podłogę.

Vickie Campbell bezgłośnie powtarzała słowo „proszę”. Jacqui naprawdę miała wielką ochotę wyjść, pozostawiając ją z tym problemem. I to nie błagalna mina Vickie sprawiła, że zmieniła decyzję. Nie potrafiła odrzucić dziecka, które pomimo pozorów chłodu i opanowania wyglądało na ogromnie samotne.

- Jesteś mi winna przysługę, Vickie - poddała się w końcu, niezdolna odeprzeć ataku z dwóch stron.

- Zgoda. - Vickie uśmiechnęła się z ulgą. - Koniecznie odwiedź mnie po powrocie, a dostaniesz pracę, którą będziesz zachwycona.

Czyżby wpadła w starannie zastawioną pułapkę?

- Chodźmy, Maisie, zanim założą mi blokadę na koła.

- Czy to twój? - spytała dziewczynka z niesmakiem, gdy podeszły do starego volkswagena.

- Mój. - Jacqui otworzyła drzwi.

- Podróżuję tylko mercedesami - oświadczyła dziewczynka.

Jacqui dobrze wiedziała, dlaczego Vickie obawiała się zostać sam na sam z Maisie Talbot.

- To jest mercedes - oznajmiła z wigorem.

- Nie wygląda.

- Doprawdy? Po prostu ma dziś swój nieformalny dzień.

Maisie zmarszczyła brwi.

- Co to jest nieformalny dzień?

Jacqui zdążyła pożałować, że nie trzymała języka za zębami. Musi uważać, gdy następnym razem będzie usiłowała przechytrzyć małą.

- To taki dzień, gdy możesz pójść do pracy ubrana na przykład w dzinsy zamiast w kostium.

- Dlaczego ktoś chciałby to robić?

- Dla zabawy. - Ale ponieważ ideałem zabawy Maisie było strojenie się, dodała: - Och, czasami po to, żeby zebrać pieniądze na jakiś zbożny cel. Dorośli płacą za to, że przychodzą do pracy ubrani jak im się podoba. Czy na przykład nie chciałabyś zamiast szkolnego mundurka włożyć do szkoły tę sukienkę i jednocześnie zebrać trochę pieniędzy?

- Ja nie chodzę do szkoły.
- Nie chodzisz?
- To nauczyciel do mnie przychodzi. - I dodała: - Czy właśnie dlatego nie nosisz odpowiedniego uniformu? Ubrałaś się tak, żeby wpłacić pieniądze na jakiś cel?

Jacqui, która nigdy nie nosiła żadnego uniformu, pominęła tę uwagę milczeniem i zaczęła robić w samochodzie porządki. Zebrała z tylnego siedzenia papierki po cukierkach, następnie postawiła białą torbę obok swojej i powiedziała:

- Wskakuj, Maisie, i zapnij pas.

Mała weszła do środka jak księżniczka do rolls-royce'a i ostrożnie rozpostarła sukienkę na siedzeniu. Dopiero gdy była zadowolona z efektu, pozwoliła zapiąć sobie pas.

Jacqui spróbowała nawiązać rozmowę:

- Czy też chcesz zostać modelką, tak jak mama?

- Już to robiłam, ale to strasznie nudne. - Maisie pośłała jej spojrzenie pełne irytacji.

- Słyszałam o tym. - Jacqui siadła za kierownicą, włączyła silnik i ruszyła z miejsca.

- Gdy dorosnę, zamierzam zostać lekarzem tak jak...

- Jak kto?

Ale Maisie nie odpowiedziała. Wyjęła ze swojej torby odtwarzacz CD i włożyła słuchawki do uszu, dając do zrozumienia, że zakończyła konwersację.

Świetnie, pomyślała Jacqui. Zaczynała się przyzwyczajać do podróży bez niekończącej się dziecięcej paplaniny.

- Jesteśmy na miejscu, Maisie - powiedziała, skręcając na rondzie w kierunku Little Hinton.

- Nie, jeszcze nie. - Maisie nawet nie podniosła oczu.

Oczywiście miała rację.

Wioska znajdowała się w odległości raczej piętnastu niż ośmiu kilometrów od autostrady, ale łatwo ją było znaleźć. Był tam sklep, poczta, pub i mała szkoła, gdzie dzieci bawiły się na boisku, oraz domy rozrzucone wśród zieleni. W ciągu pięciu minut Jacqui sprawdziła je wszystkie i wcale się nie zdziwiła, że nie znalazła pomiędzy nimi Samotnego Szczytu.

Wioska znajdowała się w niewielkiej dolinie, za którą wznosiło się pasmo wzgórz tonących w nisko zawieszonych chmurach. Nietrudno było zgadnąć, że rezydencja nosząca nazwę Samotny Szczyt musiała znajdować się gdzieś tam.

- Niewielkie zboczenie z drogi... - mruknęła pod nosem, zatrzymując się przed sklepem. - Możesz zapomnieć o pocztówce, Vickie Campbell.

- Mówiłam ci, że to jeszcze daleko - wtrąciła Maisie.

- To prawda.

- Tam! - Wskazała wzgórze tonące we mgle.

- Poczekaj, spytam o drogę.

- Znam drogę. Powiedziałam ci, że to tam, na górze.

- Poczekaj, zaraz wracam.

Dziewczynka wruszyła ramionami i założyła słuchawki na uszy.

- Samotny Szczyt? Jedzie pani do Samotnego Szczytu?
- Spojrzenie pełne wątpliwości, jakim obrzuciła ją ekspedientka, nie podziałało na Jacqui krzepiąco. - Czy tam się pani spodziewają?

Jacqui miała na końcu języka niezbyt uprzejmą ripostę, ale na prowincji ludzie na ogół byli wścibscy, a ona potrzebowała wskazówek.

- Tak, spodziewają się mnie.

- Może pani przy okazji zawieźć im korespondencję? - Nie czekając na odpowiedź, sprzedawczyni podała reklamówkę pełną pocztę.

- Jeśli udzieli mi pani wskazówek. Jestem trochę spóźniona.

- Oczywiście. Niech pani tylko nie pędzi w górę tą drogą. Nigdy nie wiadomo, co się wyłoni zza zakrętu. Kiedyś spotkałam lamę... - Ekspedientka wyprowadziła Jacqui ze sklepu i zaczęła objaśniać: - Pojedzie pani tędy, za szkołą skręt w lewo i w górę. Tam jest jeden dom. Nie można się zgubić. Ale naprawdę proszę uważać. Niebo jest pochmurne, a droga pełna kolein i dziur. Dobra tylko dla wozów terenowych. - Obrzuciła volkswagena powątpiewającym spojrzeniem. Gdy spostrzegła Maisie, spytała: - Czy to...?

- A potem sama zdecydowała, że tak, więc dodała: - Prawdziwa z niej laleczka, prawda? Jej matka tak samo wyglądała w jej wieku... Nie, nie całkiem tak samo... - Być może zrozumiałwszy, że jej słowa mogą mieć rasistowski posmak, dodała: - Zawsze wyglądała jak mała księżniczka.

- Dziękuję za wskazanie drogi. - Jacqui uśmiechnęła się przyjaźnie. - I za przestrogi. Będę uważać na dziury. I na lamy.

Naprawdę uważała. Zaciskając zęby, wolniutko wspinała się pod górę, a wycieraczki ledwie nadażały ściągać błoto klejące się do szyby.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała krzepiąco bardziej do siebie niż do Maisie, która ignorowała wstrząsy jak prawdziwa mała księżniczka.

Tortura ciągnęła się jeszcze przez kilometr. Jacqui z napięcia zeszytniały ramiona. Gdy zakiełkowała jej myśl, że przegapiła dom albo w ogóle pojechała złą drogą, nag-

le jakby znikąd wyłoniła się stara, porośnięta bluszczem brama. Wyglądała, jakby nie otwierano jej od lat. Wisiąły na niej dwie tablice. Na jednej pewnie był napis „Samotny Szczyt”, ale czas go zatarał. Druga, nowa tablica informowała, że „Wstęp wzbroniony”.

Jacqui wysiadła z samochodu i, starając się ominąć błoto, podniosła ciężki bolec, po czym pchnęła z całej siły zarzewiając bramę i... prawie poleciała na twarz, ponieważ naoliwione skrzydła gładko się rozchyliły.

Maisie, nadal zajęta słuchaniem płyty, nic nie powiedziała, gdy Jacqui otrzepała błoto z butów i znów zasiadła za kierownicą. Uśmiechała się tylko znacząco, z satysfakcją, wyraźnie pokazując, co sobie myśli.

Jacqui wrzuciła bieg i po chwili znalazła się przed dużym budynkiem pokrytym piaskowcem koloru kości słoniowej, z wieżami po obu stronach i dachem zwieńczonym blankami. Przypominał raczej twierdzę niż dom, w którym mieszka czyjaś babcia.

Dla Jacqui, która przecież nigdy tu nie była, rezydencja wyglądała dziwnie znajomo. Ogarnęły ją złe przecucia. Niemal zaczynała współczuć Maisie.

To było śmieszne. Przecież za chwilę drzwi otworzą się i dziecko znajdzie się w uścisku kochających babci-nych ramion.

Ale drzwi pozostawały zamknięte.

Nie chcąc wystawiać satynowych bucików Maisie na pa-
stwę kapryśnej pogody, powiedziała:

- Poczekaj tutaj. Zadzwoń do drzwi.

Maisie chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła.

Jacqui, chroniąc się przed zimnym, wilgotnym powie-
trzem, wbiegła na schodki i podeszła do nabijanych żela-

znymi ćwiekami drzwi. Nie było tu dzwonka elektrycznego, tylko staromodny dzwonek ręczny.

Gdy podniosła rękę, srebrna bransoletka zsunęła się i w tym momencie przyczepione do niej serduszek zamiotało w świetle dnia. Na chwilę zastygła, a potem mocno pociągnęła rączkę dzwonka. Usłyszała staroświecki brzęk.

Gdzieś rozległo się żałosne wycie psa.

Jacqui nerwowo rozejrzała się wokół, jakby z mgły miał wyłonić się pies Baskerville'ów. To śmieszne. Nie była w Dartmoor... Niemniej jednak zadrżała i jeszcze mocniej pociągnęła za dzwonek.

Dwa razy.

W końcu usłyszała szcęk odsuwanej zasuwki. A potem, gdy ktoś uchylił drzwi, uświadomiła sobie, dlaczego ten dom wydawał jej się znajomy. Widziała go w książce z bajkami, którą dostała w dzieciństwie. Były to przerażające opowieści o czarownicach, karłach i olbrzymach.

W takim domu mieszkał jeden z olbrzymów...

I nadal mieszka.

Jacqui miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale mężczyzna, który jej otworzył, groźnie nad nią dominował. To prawda, że stała stopień niżej niż on, ale tu nie chodziło jedynie o wzrost. Miał tak szerokie ramiona, że wypełniał całą framugę. Gęste, ciemne włosy, które od miesiący nie widziały nożyczek, przypominały lwia grzywę.

- Słucham? - spytał zniechęcająco.

Było trochę za późno na żal, że nie trzymała się swojego pierwotnego planu i nie mknie teraz autostradą na lotnisko, wyobrażając sobie hiszpańską słoneczną plażę, na której będzie się wylegiwać przez najbliższe dwa tygodnie.

Wzięła się w garść. Odsunęła myśli o olbrzymie, który

tak bardzo ją kiedyś przerażał, ponieważ piekł chleb z mielonych dziecięcych kości, i wyciągnęła rękę w przyjacielskim geście.

- Nazywam się Jacqui Moore... - Ale on najwyraźniej potrzebował więcej informacji, by wymienić uścisk dłoni, więc dodała: - Z agencji Campbell.

- Czy pani coś sprzedaje? Bo jeśli tak, to obawiam się, że podjęła pani niepotrzebne ryzyko...

-Więcej niż ryzyko - wtrąciła trochę zbyt szorstko i opuściła rękę. - Czy nie powinien pan zrobić czegoś z tą drogą?

- To moja sprawa. Proszę uważać, gdy będzie pani zjeżdżać w dół. - Cofnął się i zaczął zamykać drzwi.

Jacqui stała jak zamurowana. Ale gdy szpara w drzwiach zaczęła się niebezpiecznie zmniejszać, zrobiła to, co zaradna niania zrobić powinna: włożyła nogę w tę szparę.

Olbrzym spojrzął na jej stopę w butach do kostek, a potem na nią.

- Coś jeszcze? Chyba nie przyjechała pani po to, by poskarżyć się na stan drogi?

- Nie, jak również nic nie sprzedaję. Jestem tymczasową nianią.

- Doprawdy? - Otworzył drzwi trochę szerzej, uwalniając jej stopę. Nie cofnęła jej jednak, nawet wtedy, gdy zmierzył ją od stóp do głów. W końcu pokręcił głową. - Nie jestem całkiem przekonany. Mary Poppins nie wyszłaby z domu bez parasolki.

Miała naprawdę dość rozmowy z olbrzymem, a poza tym powinna już być gdzie indziej.

- Czy może pan przekazać pani Talbot, że tu jestem? - powtórzyła opanowanym tonem. - Oczekuje mnie.

- Wątpię. - Linie wokół jego ust pogłębiły się, choć nie zmienił wyrazu twarzy.

- Słucham? - Przez chwilę stała jak zahipnotyzowana. - Przywiozłam Maisie... - Odwróciła się, ale nie po to, aby wskazać dziewczynkę, lecz by dać sobie trochę oddechu.

Olbrzym z dziecięcej bajki nie robił na niej aż takiego wrażenia.

- Widzę - odpowiedział, choć Maisie zapadła się głębiej w siedzenie i widać było tylko błyszczącą tiarę. Uśmiech zamarł mu na ustach. - Ale po co...?

- Ma tu zostać.

- Z panią Talbot?

W jego głosie brzmiało zdumienie. Patrzył na nią tak, jakby postradała zmysły.

- Z panią Kate Talbot, jej babcią - wyjaśniła z przesadną cierpliwością. - Zostałam zaangażowana przez panią Selinę Talbot poprzez agencję Campbell. Miałam przywieźć Maisie do Samotnego Szczytu. Mam napięty harmonogram, będę więc ogromnie wdzięczna, jeśli mogłabym ją przekazać i ruszyć w swoją drogę.

- Rozumiem panią, ale to niemożliwe. Przykro mi, że jechała pani na próżno. - W jego głosie nie słychać było współczucia. - Moja ciotka...

- Pańska ciotka?

- Moja ciotka, czyli babcia Maisie, czyli pani Talbot - odparł z beczelną ironią - bawi obecnie u swojej siostry w Nowej Zelandii.

Jacqui wzięła głęboki oddech.

- Zaszło jakieś nieporozumienie - powiedziała głośno, jakby przekonywała samą siebie. Vickie potrafiła działać podstępnie, ale nie była głupia i poważnie traktowała swój

biznes. - Pani Talbot dziś rano przywiozła córkę do agencji Campbell. Byłam tam przypadkiem...

- Miała pani pecha.

- Chciałam tylko podkreślić, że nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała, że jej matka wyjechała. Musiała z nią rozmawiać, uzgodnić termin...

- Pani by to zrobiła. Ja na pewno też. - Raz jeszcze usta olbrzyma wykrzywiły się w grymasie, który z trudem można by nazwać uśmiechem. Ale tym razem żadna oznaka rozbawiania nie sięgnęła oczu. - Już jako dziecko Sally... Selina uważała, że jej życzenia są dla matki rozkazem. Nie nauczyła się nikogo o nic prosić. Być może, gdy się spogląda na życie tak jak ona, nie trzeba tego robić.

-Ale przecież...

- Tym razem będzie musiała odłożyć życie towarzyskie na drugi plan i choć raz odegrać rolę prawdziwej matki.

-Ale...

Mówiła do zamkniętych drzwi.

Harry Talbot zamknął drzwi i oparł się o nie na dłuższą chwilę, czując, jak strużka potu spływa mu po karku. Nie miało to nic wspólnego z mozolną pracą przy zepsutym bojlerze.

Do diabła z Sally! Do diabła z Jacqui Moore! Do diabła ze wszystkimi...

Wyprostował się, wziął kilka uspokajających oddechów i odwrócił się do drzwi, oczekując na kolejny dzwonek. Postanowił, że nie włączy się w żadną grę prowadzoną przez jego rodzinę.

Opieka nad menażerią Sally była niewielką ceną za jego samotność. Zwierzęta przynajmniej nie mówiły. Nie zada-

wały pytań. Nie wpatrywały się w niego, zastanawiając się, czy nie oszalał.

Tak jak Maisie.

Tak jak ta kobieta...

Chociaż nikt do drzwi nie zadzwonił, nie uwierzył, a nawet nie miał nadziei, że odjechały. Nie uruchomiła samochodu, wiedział więc, że panna Jacqui Moore - która w obcisłych dżinsach i takiej samej bluzce wcale nie przypominała Mary Poppins - zadzwoni do agencji po instrukcje, a potem wróci i zażąda schronienia dla swej podopiecznej.

Ale na razie nie zamierzał się tym martwić. Musiał naprawić bojler.

Jacqui usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Odwróciła się i zobaczyła, jak Maisie ostrożnie wysiada, uważając na kałuże.

- Maisie, zostań w środku... - Powinna się zastanowić. Najpierw zadzwoni do Vickie, która przyśle kogoś na zastępstwo.

- Muszę iść do łazienki - oświadczyła dziewczynka. - Natychmiast!

Jacqui z mieszanymi uczuciami spojrzała na dzwonek do drzwi.

- Poczekaj chwilkę, Maisie. - Zdając sobie sprawę, że każda oznaka słabości zostanie niemiłosiernie wykorzystana, założyła kosmyk wilgotnych włosów za ucho i, lekko drżąc, ponieważ zimno zaczęło przenikać jej cienkie ubranie, wyciągnęła telefon i wybrała numer Vickie.

-I chce mi się pić - dodała Maisie, nie zwracając uwagi na nakaz pozostania w miejscu.

- Proszę - poprawiła ją automatycznie Jacqui.
- Proszę. - Maisie westchnęła.
- W mojej torbie jest sok pomarańczowy.
- Chciałbym wypić coś ciepłego - powiedziała Maisie tonem małej księżniczki.

Dziecko miało rację. Jacqui również chętnie wypłaby herbatę.

- Tylko zadzwonię, a potem coś ustalimy.

Maisie wzruszyła ramionami.

- Szybciej, szybciej... - mamrotała Jacqui do słuchawki, czując, jak z każdą chwilą robi jej się chłodniej. - Naprawdę powinnaś poczekać w samochodzie, Maisie...

Rozejrzała się wokół, ale dostrzegła tylko rąbek białej sukienki znikającej za rogiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- O cholera!

Jacqui nie miała wyboru. Rzuciła się za Maisie na tył domu, gdzie znajdował się ogromny, brukowany dziedziniec, a za nim ciągnęły się stajnie.

Dobiegła do Maisie, gdy dziewczynka wchodziła przez tylne drzwi, które mimo złej pogody były szeroko otwarte.

- Co robisz?

- Nikt nie korzysta z frontowych drzwi - powiedziała Maisie kategoriycznym tonem.

-Nie?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałabym ci, gdybyś mnie spytała.

Nie zważając na błoto, które przywarło jej do butów, wkroczyła do środka, jakby była właścicielką rezydencji Samotny Szczyt.

Jacqui przeszła za nią przez obszerną sień zasłaną butami i parasolami, z rzędem woskowanych kurtek na wieszaku, jakby dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, do ogromnej kuchni ogrzewanej staroświeckim piecem.

Przy piecu znajdowało się legowisko, które przyjaźnie dzieliły płożożółty kurczak z nastroszonymi piórami i dwa, a może trzy pęgowane koty. Były tak do siebie po-

dobne i tak w siebie wtulone, że trudno było je rozróżnić. Obok duży, kudłaty ogar lizał zabłocone łapy.

Jacqui była tak zmęczona, że chętnie położyłaby się obok nich. Ale zamiast tego odwróciła się do Maisie i powiedziała:

- Czasami lepiej jednak nie czekać, aż zostaniesz o coś zapytana.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie chciałaś słuchać, gdy powiedziałam ci, że znam drogę. Chodź. - Otworzyła kolejne drzwi i wyprowadziła Jacqui z przytulnej kuchni do pełnego przeciągów wewnętrznego holu, a stamtąd na schody, które kiedyś, w czasach, gdy ludzie mieszkający w takich domach mieli służbę, były właśnie dla niej przeznaczone. - Tędy!

- Co to znaczy? - mruknęła, gdy pod wpływem przeciągu zrobiło jej się jeszcze chłodniej w przemoczonym ubraniu. Następnie przymknęła oczy i, przypominając sobie, że Maisie miała zaledwie sześć lat, a ona była dorosła i powinna nad sobą panować, powiedziała: - Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna.

- W porządku.

Ale nic dziś nie było porządku. A największy błąd popełniła, odpowiadając na telefon Vickie. Zamierzała przekonać ją, że naprawdę skończyła z tym zawodem... Lecz Vickie powiedziała o tej paczce i wtedy Jacqui odkryła, że nie była wcale tak obojętna i silna, za jaką się uważała.

Odetchnęła głęboko, a gdy otworzyła oczy, okazało się, że właśnie popełniła kolejny błąd, ponieważ Maisie zniknęła.

Wspaniale!

Sześć miesięcy, które przepracowała w biurze, najwyraźniej stępiły jej instynkt opiekuńczy.

Gdy rozejrzała się wokół, zobaczyła sześcioro drzwi, z których miała wybrać te właściwe. Otworzyła najbliższe, ale za nimi znajdowała się wielka spiżarnia pełna wiktuałów na co najmniej pół roku. Nie było tu jednak Maisie.

Gdy podchodziła do kolejnych drzwi, telefon, który trzymała w ręce, zapiszczał. Do licha, podczas pościgu za uciekającą księżniczką nie przerwała połączenia z biurem Vickie.

Przyłożyła telefon do ucha i rzuciła bez wstępów:

- Vickie, mam duży problem...

- Jacqui? Czy to ty?

- Tak, ja. - Otworzyła kolejne drzwi. - Jacqui, którą wysłałaś na próżno... - Te prowadziły do małego, rzadko używanego saloniku. Na sofie wylegiwały się dwa stare labradory. - Dobre pieski - powiedziała w odpowiedzi na groźne machnięcia dwóch ogonów, a potem wróciła do tematu: - I która wystawi ci za to wszystko rachunek!

- Rachunek?

- Jacqui, która wylądowała tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, z zarozumiałą sześciolatką, która nie tylko ubiera się jak księżniczka, ale, co gorsza, za taką się uważa...

- Nagle przerwała, ponieważ zorientowała się poniewczasie, o co tu chodzi.

Jakaż była głupia!

Vickie powiedziała, że nowa niania, którą wybrała dla pani Seliny Talbot, przed objęciem obowiązków wyjechała na wakacje. To oczywiste, że Jacqui była tą wybraną nianią! Po prostu Vickie jeszcze jej o tym nie powiedziała, mając nadzieję, że za pomocą swoich sztuczek złapie ją w sidła.

Co za idiotka! Nawet coś wspomniała o zbiegu okoliczności, ale nie skojarzyła faktów! „Zawieź ją do domu jej babci”, a nie do „jej babci”.

I rzeczywiście, nie powitała jej miła staruszka, tylko jakiś gbur, który nawet nie chciał ich wpuścić do środka. Na co Vickie liczyła? Zapewne na jej poczucie odpowiedzialności. Wiedziała, że Jacqui zrezygnuje z wakacji i zajmie się opuszczonym dzieckiem aż do powrotu jej matki. W końcu co innego jej pozostało?

- Jacqui? Jesteś tam?

- Tak, ale już niedługo. Trochę późno do mnie dotarło, lecz w końcu cię zdemaskowałam, Vickie Campbell. Ale zapewniam cię, że to się nie uda!

- O czym ty mówisz?

Co za niewinny głosik!

- O podstępnym planie wciągnięcia mnie z powrotem na listę pracowników twojej agencji! Bo sobie wymyśliłaś, że nadal mam zarabiać dla ciebie pieniądze! Właśnie o tym mówię! Nie będę tego więcej robić, Vickie! I dobrze o tym wiesz!

- Jacqui, jesteś bardzo zdenerwowana. Miałaś wypadek? Z Maisie wszystko w porządku?

- Maisie? Niepokoisz się o Maisie?

No właśnie. Gdzie jest Maisie? Otworzyła kolejne drzwi. Tym razem był to mały gabinet, w którym panował bałagan. Jacqui nie była pewna, które uczucie zaczynało w niej dominować: wdzięczność losowi, że dotąd uniknęła ponownego spotkania z olbrzymem, irytacja na Maisie czy raczej złość na siebie, że była tak łatwowierna.

- Niepokoję się o was obie - powiedziała Vickie.

- A ja się denerwuję, ponieważ mój samolot niedłu-

go odlatuje. Mam bilet last minute, na pewno więc nie odzyskam pieniędzy. Ostrzegam, wyrwę ci je z gardła! - A potem dodała słodkim jak miód głosem: - Naprawdę, mam nadzieję, że pani Selina Talbot zrozumie, dlaczego proste, dwugodzinne zlecenie tyle ją kosztowało. Samolot, zaliczka za hotel, straty moralne... - Nagle wrzasnęła ile sił w płucach: - Maisie! Gdzie się podziewasz, u diabła?

- Jacqui? Zgubiłaś ją?!

- Chwilowo tak. Ale zajmę się nią do chwili, gdy tu po nią przyjedziesz.

- Ja? Ja nie mogę tam przyjechać! Mam ważne spotkanie w banku... - A potem, ponieważ Jacqui tajemniczo milczała, spytała z troską: - Właściwie to gdzie wy jesteście?

- W korytarzu Samotnego Szczytu. Maisie też gdzieś tu jest, ale dokładnie nie wiem gdzie. Jedyna osoba, której tu nie ma, a być powinna, to babcia Maisie.

- Nie rozumiem... A gdzie ona jest?

- W Nowej Zelandii.

- Co ona, na litość boską, robi w Nowej Zelandii?

- Pewnie jest na wakacjach.

- Och, przepraszam...

- Nie przepraszaj, tylko natychmiast tu przyjeżdżaj. Droga zajmie ci półtorej godziny. Jeśli wskoczysz do auta, może zdążę na samolot. Wtedy moja zemsta będzie nieco mniej okrutna.

- Jacqui, bądź rozsądna. Nie mogę teraz wyjechać...

- Po prostu musisz. Zegar tyka. Już straciłaś minutę.

- Daj mi dziesięć minut. Zadzwoń do Seliny. Dowiem się, co się dzieje.

- To miło z twojej strony, ale już cię rozgryzłam i po-

wtarzam: żadna propozycja nie skłoni mnie, bym przyjęła tę pracę.

-Ale...

- A tak przy okazji, ten olbrzym to naprawdę miła niespodzianka. Skąd go wytrzasnęłaś? Nie, tylko mi nie mów! Już wiem! Został po świątecznych jasełkach? Świetnie musiał wypaść w roli Heroda. Nawet nie potrzebował charakteryzacji.

- Jacqui, gdzie ty jesteś? Zaczynam się martwić...

Wrzask Maisie, dochodzący gdzieś z górnego piętra, przywrócił ją do rzeczywistości.

- W Samotnym Szczycie, w Little Hinton, Vickie. I uważaj na tylne zawieszenie, jak będziesz jechać pod górę. Koleiny są bardzo głębokie, a miejscowa ludność... - Gdy odwróciła się w stronę schodów, przekonała się, że nie jest sama. Olbrzym, którego zaalarmował krzyk Maisie, zablokował jej drogę. - Nie jest zbyt przyjaźnie nastawiona - dookończyła.

Zawsze była z siebie dumna, że należy do tych nowoczesnych, rozsądnych kobiet, które niezależnie od sytuacji potrafią zachować zimną krew. Ale tym razem, być może dlatego, że groźny król Herod pojawił się nie wiadomo skąd, mocno ścisnęło ją w sercu.

Był tak realny, tak męski. I wyraźnie zirytowany, że jego dom stał się obiektem inwazji.

I oto nowoczesna, dzielna kobieta, która zawsze zachowuje zimną krew, cicho pisnęła. Taki pisk mogła wydać mysz podczas spotkania z silnym, głodnym kocurem.

- Nadal tu jesteście. - W oczywisty sposób widok Jacqui nie sprawiał mu przyjemności, ale też nie był nim szczególnie zaskoczony.

- Maisie musiała pójść do łazienki - powiedziała.

-I nie pozostawiła pani wyboru. Wiem, jak ona się zachowuje. Nauczyła ją tego wybitna specjalistka w tej dziedzinie.

- To dom jej babki - podkreśliła Jacqui, zła na siebie, że się usprawiedliwia, gdy on zachowuje się gburowato. Maisie ma prawo tu przebywać. Właściwie, co on tutaj robił?

- Ale, jak pani widzi, jej babki nie ma. Nie ma komu się nią zająć.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

- Powinna to pani ustalić z Sally. Mnie wystarczy, że mam na głowie ten cały jej zwierzyniec.

To była odpowiedź na pytanie, którego nie zadała.

- Robie, co w mojej mocy. - Machnęła telefonem.

- Tę przyjemność zostawiam pani. Mam robotę w piwnicy. - Pchnięciem otworzył drzwi ukryte w boazerii.

- Jacqui, gdzie jesteś? - rozległ się dziecięcy głos.

- Proszę nie kazać Jej Wysokości czekać - złośliwie mruknął olbrzym.

- Ma pan rację. - Zaczęła się cofać w stronę schodów. Oczywiście nie z przerażenia. Właściwie nie było nic groźnego w jego zachowaniu. Tylko był irytująco... duży. To wszystko.

Po chwili namysłu doszła do wniosku, że powinna być mu wdzięczna za jego obecność. Gdyby zastała dom zamknięty, musiałaby wracać do Londynu. I ostatecznie pożegnać się ze słonecznymi wakacjami.

- Pójdę do Maisie. - Cofnęła się o kolejny krok. Był to o jeden krok za dużo, ponieważ potknęła się o schody, straciła równowagę i, łapiąc się poręczy, upuściła telefon.

Gdy już przemknęło jej przez myśl, że nic jej nie ocali przed upadkiem, olbrzym wyciągnął ręce i chwycił ją w powietrzu. Nagle znalazła się w bardzo silnych objęciach.

Nie miała talii osy ani bioder modelki, należała do podstawnych kobiet, ale przez jedną chwilę, wpatrując się w te złote, tygrysie oczy, poczuła się bardzo drobna i krucha. Był to oczywiście kompletny nonsens, wiedziała bowiem, że powinna zrobić wysiłek i stanąć na własnych nogach, zanim biedny człowiek dozna urazu kręgosłupa.

Nim jednak dokonała tego wysiłku, nim zdołała odebrać się od miękkiej, wełnianej koszuli, olbrzym sam odsunął ją na bezpieczną odległość.

Chociaż mocnymi rękami nadal ścisnął ją w talii, w jego zachowaniu nie było nic niewłaściwego. Po prostu zastosował konieczne środki ostrożności. Czekał, aż Jacqui odzyska równowagę i złapie oddech.

Cóż, zajęło jej to więcej czasu, niż powinno. Może dlatego, że patrzenie na kogoś z dołu, nawet gdy chodziło o mężczyznę, było dla niej niezwykłym doświadczeniem. A poza tym z bliska okazało się, że... było na co popatrzeć.

Nie chodziło o jego niezwykle oczy ani o szerokie ramiona, choć ich rozmiar był naprawdę imponujący. Ani nawet o jego wzrost. Zresztą te dwa metry z hakiem nie wydawały się jej już tak bardzo przytłaczające. To prawda, że nawet na wysokich obcasach musiała zadzierać głowę, ale nie aż tak wysoko, i po raz pierwszy, odkąd w szkole przerosła wszystkie dziewczyny - i wszystkich nauczycieli - poczuła się tak, jakby znalazła się na właściwym miejscu. Och, powinna się odsunąć...

Zanim zdążyła wprowadzić myśl w czyn, zapytał:

- W porządku?

-Tak.

- Na pewno?

- Na pewno. - Wyprostowała się,

- Przydałoby się coś na nerwy, Jacqui Moore - oznajmił, puszczając ją w końcu.

- To był męczący dzień. - Zadrżała z zimna.

- Jak każdy, w którym spotyka się moją kuzynkę. - Następnie stwierdził odkrywczo: - Zmarzła pani.

- Trochę. To z powodu wilgoci. Mgła przenika wszystko. Niezbyt zdrowo mieszkać w chmurach.

- Znam gorsze miejsca. A mgła na wzgórzach ma swoje zalety. Na przykład nieproszeni goście rzadko tu zagładają.

- Nie będę nadużywać pańskiej gościnności ani chwili dłużej, niż to konieczne. - Dała do zrozumienia, że pojęła aluzję. - Muszę zdążyć na samolot.

- A więc lepiej wziąć się w garść.

Urocze. Po prostu urocze. Przypomniała sobie, że olbrzym z jej bajki również nie nastrajał do śmiechu. A już na pewno nie czytałaby o nim żadnemu dziecku na dobranoc.

- Najpierw znajdę Maisie, potem zadzwonię. - Schyliła się po telefon.

Uprzedził ją, podniósł komórkę i podał jej. Długie palce musnęły jej dłoń.

- Niech pani wytrze się do sucha. W łazience są czyste ręczniki.

- Dziękuję, panie...

- Talbot - odpowiedział.

Czekała, aż powie coś więcej. Ale tego nie zrobił. Właściwie co ją obchodziło, jak miał na imię? Jeśli wołał,

by ich stosunki pozostały formalne, nie miała nic przeciwko temu.

- Jesteśmy rodziną - dodał po chwili.

- Cóż, panie Talbot, mogę tylko przeprosić za nadużycie pańskiej gościnności. Ale ponieważ załatwienie tej sprawy zajmie trochę czasu i niepokojenie pana wydaje się nieuchronne, zastanawiam się, czy mogłabym poprosić pana o filiżankę herbaty? - Czekąca na zapewnienie, że nie sprawi mu to kłopotu, ale gdy tak się nie stało, dodała: - A ja tymczasem pójdę zaopiekować się Maisie. Chyba że woli pan sam się nią zająć, wtedy zdążę na samolot.

- Nie może jej pani ze mną zostawić.

Oczywiście, że nie mogła tego zrobić. Ale czy była to tylko reakcja przerażonego mężczyzny, który najprawdopodobniej nie lubił dzieci?

Musiała przyznać, że w jego głosie nie słychać było przerażenia. Wprost przeciwnie, mówił jak mężczyzna, który wie, o czym mówi, i robi to bez emocji.

- Przecież jest pan tu jedynym krewnym Maisie - twierdziła stanowczo, choć oczywiście wiedziała, że nie wolno jej zostawić dziewczynki pod opieką wuja bez przyzwolenia Seliny Talbot. W przeciwieństwie do kompletnie nieodpowiedzialnej matki, niania z agencji nie mogła porzucić dziecka i uciec.

Przez chwilę zdawał się rozważać ten problem, a potem spytał, lekko wzruszając ramionami:

- Indyjską czy chińską?

Udało jej się stłumić triumfalny uśmiech.

- Indyjską, proszę. To odpowiednia chwila na coś orzeźwiającego, nieprawdaz?

Nie czekała, by sprawdzić, czy się z nią zgodził, tylko energicznie ruszyła po schodach w poszukiwaniu swojej podopiecznej.

Maisie ze spuszczoneymi rajstopami, podpierając się rękami w talii, stała w drzwiach łazienki i patrzyła na Jacqui ze złością.

- Gdzie byłaś? Czekam tu całe godziny!

- Ścisłej, minuty. I gdybyś naprawdę poczekała, zamiast zniknąć.,.

- Powiedziałam przecież, że muszę!

- Wiem - odparła Jacqui łagodniejszym tonem. - Ale już więcej nie znikaj, dobrze? - A gdy nie usłyszała odpowiedzi, spytała z naciskiem: - Maisie?

- Słyszałam, w porządku.

Podciągnęła jej rajstopy, a potem, gdy Maisie myła ręce, skorzystała z rady Talbota i użyła ręcznika. Przy odrobinie szczęścia ubranie wyschłoby w kuchni, a ona nie nabawiłaby się zapalenia płuc. Ale, sądząc z przebiegu zdarzeń, trudno było na to liczyć.

- Chodźmy, Maisie, spróbujemy rozwikłać tę sytuację.

- Jaką sytuację?

- Twojej babci tu nie ma.

- Wiem. Ale to nie ma znaczenia. Mogę tu zostać, aż wróci mama. Mam swój pokój w wieży. Został urządzone specjalnie dla mnie. Ma fioletoworóżowe ściany i kolorowe firanki, przez które widać wybieg dla osiołków i kucyka. Ten kucyk jest mój.

- Naprawdę? Też miałam kucyka, gdy byłam w twoim wieku. Był pomarańczowy, a na zadku miał wymalowane jabłko.

Maisie popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Mój kucyk jest prawdziwy. Nazywa się Krówka. Chcesz go poznać?

- Tak, ale nie mamy na to czasu, Maisie. Potrzebujesz nie tylko pokoju. Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zajmie.

- Przecież jest Harry... - Harry? Ma na imię Harry? - I Susan...

- Susan? - Czyżby olbrzym miał żonę? Wspaniale... Jeśli Harry Talbot jest żonaty lub ma przyjaciółkę, wszystko może się ułożyć. Oczywiście, jeśli Vickie porozumie się z Seliną Talbot przed jej wyjazdem z kraju. - Kto to jest Susan?

- Przychodzi tu codziennie rano, żeby posprzątać i ugotować.

- Och, wspaniale! - Nie. Wcale nie było wspaniale. Zmuszając się do uśmiechu, Jacqui powiedziała: - Posłuchaj, Maisie, nastąpiło jakieś nieporozumienie, ale nie ma się czym martwić. Pani Campbell, ta pani z agencji, zadzwoni do twojej mamy i coś ustali.

Maisie westchnęła.

- Nie będzie mogła tego zrobić. Moja mama jest już w samolocie, a tam, niestety, trzeba wyłączyć telefony komórkowe.

- To prawda...

- Moja mama mówi, że to naprawdę okropne, ale przez to są zakłócenia w elektryczności, a jeśli tak się dzieje, nie można oglądać filmu.

- Rozumiem. - Jacqui była pewna, że jeśli naprawdę dochodziło do „zakłóceń w elektryczności”, to już nic nie można było oglądać, ale mając w perspektywie podróż lotniczą, wolała się nad tym nie zastanawiać. - Czy wiesz, dokąd leci twoja mama?

- Będzie miała sesję zdjęciową na Wielkim Murze w Chinach. To po drugiej stronie kuli ziemskiej, wiesz?

- Słyszałam.

- To strasznie długa podróż, tak mi powiedziała.

Nie taka strasznie długa, ale Jacqui była pewna, że pani Talbot dopiero jutro odbierze telefon.

Maisie popatrzyła na nią ogromnymi oczami.

- Wszystko będzie w porządku. Możesz zostać i mną się opiekować.

Nie! Nie...

- Zobaczmy, co powie pani Campbell. - Odsunęła od siebie dziwaczną myśl, że dziecko było zaangażowane w ten podstęp. To byłaby paranoja...

- Nie chcesz się mną opiekować? - spytała Maisie.

- Tu nie chodzi o to, czego ja chcę.

Maisie popatrzyła na nią spokojnie; jej ciemne oczy były szeroko otwarte i niewinne.

- A może chodzi o to, że nie jestem prawdziwą córką swojej mamy? I że mam inny kolor skóry?

ROZDZIAŁ TRZECI

Jacqui poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze.

Kolor skóry dziewczynki był ostatnią rzeczą, jaka przeszła jej przez myśl, ale być może Maisie, jako adoptowana córka sławnej Seliny Talbot, narażona była na różne nieprzyjemne uwagi, czasami bezmyślne, czasami płynące z zazdrości.

Była tak pochłonięta własnymi problemami, że dała się zwieść pewności siebie małej księżniczki.

Tak czy owak, najmniej, czego teraz potrzebowała, było branie odpowiedzialności za czyjeś dziecko. Ale matka Maisie leciała właśnie na drugi koniec świata, a babcia już przebywała na antypodach. Pozostawał tylko olbrzym, który nie chciał się nią zaopiekować...

Musiała zapewnić Maisie bezpieczeństwo niezależnie od tego, jak bardzo pokrzyżuje to jej własne plany.

- Nie, Maisie. To nie ma absolutnie nic wspólnego z tym, że jesteś adoptowana - rzekła stanowczo. - Chodzi po prostu o to, że...

Mała popatrzyła jej prosto w oczy.

- Myślę, że dlatego Harry mnie nie chce - powiedziała. Jacqui była zszokowana.

- Och, jestem pewna, że to nieprawda - stwierdziła, zarazem jednak dobrze pamiętała, jak obojętnie, bez żadnej

emocji patrzył na czekającą w samochodzie Maisie, która zsunęła się na siedzeniu, by się ukryć przed wujem.

Jacqui starała się przypomnieć sobie wszystko, co na temat tej adopcji wyczytała w kolorowej prasie. Nie pamiętała jednak szczegółów.

Nie wiedziała, kim jest Maisie ani skąd pochodzi. I czy zachowanie Harryego Talbota można jakoś wytłumaczyć.

Harry...

To imię do niego nie pasowało. Było ciepłe, pieszczotliwe. Odpowiednie dla mężczyzny, który potrafi przytulić, powiedzieć coś pokrzepiającego, który zna słowa dziecięcych kołysanek... Nie pasowało do mężczyzny, który odrzuca małą dziewczynkę, dlatego że została adoptowana.

Nie potrafiła nawet znaleźć wystarczająco okropnego imienia dla takiego człowieka.

Zapragnęła mocno uściskać Maisie. Pokazać, że przynajmniej jedną osobę na świecie obchodzi, co się z nią dzieje.

Och, znów zadziałał jej instynkt opiekuńczy.

Niedobrze.

Zwalczyła w sobie to pragnienie, zebrała się w sobie i zamiast uściskać małą, usiadła na najwyższym stopniu, by znaleźć się na poziomie wzroku Maisie. Następnie ujęła jej dłonie i poważnym tonem powiedziała:

- Posłuchaj mnie. Nawet gdybyś była niebieska, miała różowe włosy i pomarańczowe piegi, dla mnie byłoby to bez znaczenia.

Maisie popatrzyła na nią uważnie. Potem obojętnie wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Nie było na jej twarzy bezgranicznej ufności, ale w przy-

padku dzieci nie można się spodziewać natychmiastowych rezultatów. Trzeba zasłużyć na ich zaufanie. Postanowiła więc być całkowicie szczerą.

- Jesteś mądrą dziewczynką, dlatego nie będę niczego owijać w bawełnę. Mamy problem. Otóż zgodnie z planem miałam przywieźć cię tutaj i przekazać pod opiekę twojej babci. Wiesz, że nie miałam tu z tobą zostać, prawda?

Maisie znów wzruszyła ramionami. Tym razem unikała spojrzenia Jacqui i wbiła wzrok w swoje pantofelki.

- Wiem.

- To nie dlatego, że cię nie lubię, ani dlatego, że jesteś czarna, ale dlatego, że mam wsiąść do samolotu... - Zerknęła na zegarek. Miała coraz mniej czasu. - Och, naprawdę wkrótce.

- Zupełnie jak moja mama. - Było to obojętne, spokojne stwierdzenie.

Jacqui zrozumiała, że stała się kolejną osobą, która ją porzucała. To nie w porządku ze strony Maisie...

- Wcale nie. Twoja mama pracuje, co jest bardzo ważne. Ja miałam lecieć do Hiszpanii... - Do licha, już mówiła o tym w czasie przeszłym! - Na wakacje.

- Aha. - Maisie, która wyglądała na trochę zniechęconą, natychmiast pojaśniała. - Musisz jechać do Hiszpanii? Tutaj też można miło spędzić wakacje. - A potem, zapewne przypomniawszy sobie o obecności Harryego w rezydencji, dodała: - Zazwyczaj.

- Jestem pewna, że tak. Gdy jest tu twoja babcia. No i możesz jeździć na swoim kucyku.

- Tu jest mnóstwo zwierząt. W naszym domu w Londynie ich nie mamy, bo miasto nie jest dla zwierząt. Mama zawsze, gdy znajdzie jakieś zwierzątko, wysyła je do bab-

ci. Tu jest dużo miejsca. Są psy, koty, kurczaki i króliki...
- Uniosła ręce w radosnym geście. - Nawet osiołki, które są zbyt stare, aby wozić dzieci po plaży. Ale jeśli musiszjechać. ... - Opuściła drobne dłonie, a jej twarz posmutniała.
- Zrozumiem.

- Nigdzie nie pojedę, aż znajdę kogoś, kto się tobą zajmie. Zgoda?

Maisie nie podniosła wzroku, tylko zaczęła wbijać czubek satynowego pantofelka w zniszczony dywan.

- Nawet jeśli przez to nie zdążysz na samolot?

- Nawet jeśli nie zdążę na samolot.

- Obiecujesz?

Danego dziecku słowa nie można złamać. Należało jej wypowiadać z ogromną ostrożnością i rozmysłem, zwłaszcza że czasami nie sposób było go dotrzymać.

Maisie czekała z niepokojem na jej odpowiedź.

- Obiecuję, Maisie. - W końcu nie było to zobowiązanie na całe życie.

- A jeśli nie znajdziesz nikogo, to zostaniesz i zaopieczysz się mną, aż moja mama wróci?

- Znalazła pani wszystko, co potrzeba?

Jacqui nie sądziła, że kiedykolwiek ucieszy ją widok Harry'ego Talbota. Teraz była naprawdę zadowolona, że przerwał jej rozmowę z Maisie.

- Tak, dziękuję. - Szybko wstała.

- Idźcie teraz do kuchni, tam się ogrzejecie. - Popatrzył na małą z wyżyn swego ogromnego wzrostu. - Cześć, Maisie.

Jacqui poczuła, jak Maisie ukradkiem wzięła ją za rękę, po czym spuściła wzrok i powiedziała:

- Cześć, Harry. Mogę zobaczyć szczeniaki Meg?

Szczeniaki, króliki, osiołki i własny kucyk. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Maisie chciała tu zostać.

- Ale co się stało z lamą?

- Jest w stajni. Ale nie pójdziesz tam w takim stroju.

- Maisie się przebierze - powiedziała Jacqui. - Gdyby był pan tak uprzejmy i przyniósł jej torbę z samochodu. Jest otwarty...

Harry Talbot spiorunował ją wzrokiem.

- Przyniosę szczeniaki do kuchni. - I wyszedł.

Ale zaparzył dla nich dzbanek herbaty, a na stole leżało smakowite ciasto z wiśniami.

Gdy Jacqui kroїła ciasto, zadzwoniła komórka. To była Vickie. Jacqui podała Maisie talerzyk i wyszła do przyległego pokoju, by swobodnie porozmawiać.

- Nie mogę porozumieć się z Sally - usprawiedliwiła się Vickie. - Zostałam jej wiadomość. Jak tylko się odezwie, podejmiemy decyzję, co dalej.

- To miło z twojej strony, ale zgodnie z tym, co mówi Maisie, Selina Talbot jest teraz w drodze do Chin. Wiadomość odbierze dopiero jutro.

- Cholera!

- Co się stało, Vickie? Nie uważasz, że powinnam znać prawdę?

- Przysięgam, Jacqui, że nie wiedziałam, dokąd ona się udaje. To miało być proste, krótkie zlecenie. Dostarczyć dziewczynkę do babci, nic więcej... Zaraz, powiedziałaś Chiny?!

- To tam, skąd pochodzi jedwab. Zamierza pospacerować po Wielkim Murze. Ale musisz mieć z kimś kontakt na wypadek niespodziewanej sytuacji.

- Oczywiście, że tak. Hm, no tak... z jej matką.

- Daj spokój...

- Uwierz mi, Jacqui, bardzo bym chciała znów cię zaangażować, bo z ciebie urodzona niania, ale nie jestem tak podła, bym z premedytacją wpakowała cię w kabałę.

- Naprawdę? A więc dlaczego tu jestem?

- Owszem, posłużyłam się małym podstępem, by skłonić cię do tej misji. Chciałam ci w ten sposób przypomnieć o twoich talentach, zanim wyjedziesz, by leżeć na plaży i zastanawiać się nad swoją przyszłością. I przyznaję, że przetrzymałam tę kopertę z Hongkongu, aż znajdę dla ciebie odpowiednią pracę, która by cię skusiła...

Jacqui żałowała, że Vickie nie włożyła na wieki tego listu do szuflady.

- Mogłabym cię oskarżyć...

- Przepraszam, ale byłam zdesperowana. Nie wiedziałam, w jaki sposób przekonać cię do pracy, do której jesteś stworzona. Ale nie jestem idiotką. Nie chciałam cię zrazić ani do siebie, ani tym bardziej do współpracy z moją agencją. Musisz mi uwierzyć...

Pomyśli o tym później. Teraz była to strata czasu.

- O co tu więc chodzi? Wygląda na to, że doskonałe stosunki matki i córki, o których tyle piszą w kolorowej prasie, to lekka przesada. Ale trudno mi uwierzyć, że Selina Talbot jest aż tak obojętna wobec Maisie. Musiała przecież rozmawiać ze swoją matką, zanim kazała odwieźć do niej dziecko.

- Nie mam pojęcia, co się stało. Być może jej asystentka coś pokręciła i doszło do nieporozumienia. A więc kto jest teraz w domu?

- Kuzyn Seliny, ale wykluczone, by zostawić z nim Maisie.

Mała zapewnia, że codziennie przychodzi tu kobieta, która sprząta i gotuje.

- A ty powinnaś złapać samolot.

- Tak więc gdzie teraz jesteś? Zakładam, że już w drodze? - naciskała, ale bez większej wiary.

- Jacqui, proszę, spróbuj zrozumieć. Gdybym mogła, oczywiście już bym tam była... Ale mam ważne spotkania, nie zdołam wyrwać się z biura przed szóstą i...

- I...?

- Nic.

- Co znaczy „nic”?

- Och, dostałam bilety do Covent Garden od pewnego klienta. To wielka gala, rozumiesz? Ale naprawdę, gdybym zdażyła...

- Przestań! Nie oszukuj samej siebie. To jasne, że jeśli w pół godziny nie zjawi się tu Mary Poppins, mam zapomniać o wakacjach, tak?

- To prawda. Oczywiście Selina Talbot zwróci ci wszystkie poniesione wydatki...

- Łatwo rozporządzasz jej pieniędzmi. Ale mój stracony lot to obecnie najmniejszy problem, prawda? Jest tu mała dziewczynka, którą nie ma kto się zaopiekować.

- Ty tam jesteś. Skoro twoje plany legły w gruzach, możesz podjąć tę pracę, prawda?

- Co ty powiesz? - Nawet nie zaproponowała, że spróbuje znaleźć kogoś w zastępstwie! - Jak długo to potrwa?

- Nie wiem. Powiedziałam ci, że chodziło tylko o odwiezienie dziewczynki, ale jutro oczywiście porozmawiam z Seliną. Na razie jest z tobą, Jacqui.

- Olbrzymowi to się bardzo nie spodoba. Nie lubi towarzystwa.

- Olbrzymowi? To ten mężczyzna, z którym nie chcesz zostawić Maisie? Dasz sobie radę? Może zabierz małą do hotelu, aż coś ustalę z Seliną?

- Maisie chce tu zostać, chociaż nie lubi wuja. Wydaje mi się, że jest raczej gburowaty niż niebezpieczny... - Głos jej zamarł, gdy przypomniała sobie jego oczy, ręce. Był niebezpieczny. Istniało poważne niebezpieczeństwo... - Będziemy się trzymać od niego jak najdalej. A ty porozmawiaj z Seliną.

- Jesteś nieoceniona, Jacqui. W przyszłości podwoję ci stawkę.

- Nie przekupisz mnie, nie licz na to. Jestem na wakacjach, zapomniałaś? Powiedziałam ci pół roku temu, że już nigdy nie zrobię tego dla pieniędzy. Podtrzymuję swoje słowa.

-Ale...

- Ale nic. Skoncentruj się na złapaniu Seliny Talbot. Muszę już iść, by zanieść Harryemu Talbotowi dobrą wiadomość, że ma w domu gości.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Jacqui.

O tak, jesteś, pomyślała Jacqui, wyłączając telefon. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła stojącą w drzwiach Maisie, która z rozpromienioną twarzą trzymała na rękach małego czarnego labradora, który strasznie się wiercił.

- Spójrz, Jacqui, jaki uroczy!

- Piękny. - Kucnęła obok dziewczynki, pogłaskała szczeniaka i bezwiednie objęła dziewczynkę i jej pieska. - Jak ma na imię?

- Pewnie nie ma żadnego.

- Pomyśl o tym. - Jacqui powoli odsunęła ramię i wstała, - On chyba już tęskni za rodzeństwem. - Nie było sen-

su zwlekać z przekazaniem Harryemu złej wiadomości. - Muszę porozmawiać z panem Talbotem.

- Zszedł do piwnicy. - Maisie zaniósła szczeniaka do kuchni i wsadziła do koszyka, w którym mrowiło się od jego rodzeństwa. - Chyba naprawia piec. Ale to i tak nic nie da, bo babcia mówi, że ten bojler jest do niczego. Dlatego ona... - Maisie urwała.

- Co, Maisie?

- Dlatego chce kupić nowy.

- Ach tak... W takim razie lepiej mu nie przeszkadzajmy. Pójdę po rzeczy do samochodu.

- Możesz podjechać od tyłu, będzie bliżej do drzwi. Tak robią wszyscy. - Oderwała wzrok od koszyka ze szczeniakami. - Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, gdybyś sama nie spytała.

- Mądrze pomyślałaś, Maisie.

- Możesz wstawić samochód do garażu.

- Poczekam na zaproszenie od gospodarza. Zaraz wracam. Nie ruszaj się. I niczego nie dotykaj. - A potem, gdy Maisie otworzyła usta, by zaprotestować, dodała: - Prócz szczeniaków.

- Dobrze, Jacqui.

- Obiecujesz?

Dziewczynka podniosła wzrok i uśmiechnęła się. W tej chwili Jacqui zrozumiała, że jej los został przypieczętowany. Nigdzie nie wyjedzie, dopóki nie zapewni Maisie należytej opieki.

- Obiecuję, Jacqui.

Harry Talbot uniósł głowę. Starał się stłumić poczucie winy, słysząc głośny, zgrzytliwy dźwięk ruszającego samo-

chodu, świadczący, że podczas podróży pod górę doszło od uszkodzenia tłumika.

Obiecał ciotce, że zreperuje bojler, i dotrzyma słowa. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, były kontakty z ludźmi. Poprosił nawet listonosza, żeby zostawiał pocztę w sklepie na dole.

Do diabła, przyjechał tutaj, aby uciec od świata. Pobyć trochę w samotności. Czy prosił o zbyt wiele?

Rzucił klucz francuski i skierował się na schody. Jeśli Jacqui Moore zjedzie w dół z uszkodzonym tłumikiem, to zgubi go na głównej drodze.

Gdy dotarł do frontowych drzwi, nie było już śladu po samochodzie. Wyteżył słuch, ale nie usłyszał odgłosu silnika. Zaskakujące. Powinien przyjąć to z ulgą.

Miał poczucie winy. Zadzwoni do warsztatu w wiosce, żeby wyglądali na Jacqui Moore i pomogli jej.

Pies - zwinny mieszańiec, przypominający ogara - dołączył do niego w nadziei na kolejny spacer.

- Zapomnij, kolego. - Złapał go za obrożę. - Wejdziemy od tyłu. Susan zabije nas, jeśli zobaczy błoto na podłodze.

Gdy zobaczył volkswagena na tylnym dziedzińcu, stanął jak wryty. Powinien wiedzieć. To byłoby zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Jacqui Moore, przestraszona przez psa, który podbiegł do niej ochoczo, podniosła głowę znad bagażnika, jakby została przyłapaną na gorącym uczynku.

- Co, do cholery, pani tu robi?

Przecież widział. Rozpakowywała samochód!

- Czy mógłby pan złagodzić język w obecności Maisie?

- Podała małej torbę.

- Przepraszam. - Przywołał psa do nogi. - Powtórzę pytanie: co wy, u diabła, robicie?

Jacqui pochyliła się nad bagażnikiem i ostentacyjnie podniosła następną torbę, zyskując tym samym trochę na czasie. Rozumiała, że Harry Talbot chciał być sam. Poczuli się dotknięta, ale najważniejsza była Maisie. Nienawidziła spięć i kłótni, lecz nie miała wyboru. Najlepiej mieć to od razu za sobą. Harry Talbot musiał zrozumieć, że ona, niania Jacqui Moore, nie pozwoli się sterroryzować.

- Zanieś torbę do środka, Maisie, i zostań tam.

Dopiero gdy mała odeszła, zwróciła całą uwagę na Harry'ego Talbota. Szara, wełniana koszula zwisała mu luźno na ramionach, świadcząc, że ostatnio sporo stracił na wadze. Pomimo że znoszone dżinsy nadal przylegały do potężnych ud, marszczyły się na zapadniętym brzuchu, co tylko podkreślało...

- Słucham? - spytał ostro, gwałtownie sprowadzając ją do rzeczywistości.

- Otóż, panie Talbot... - powiedziała, próbując wymazać sprzed oczu niestosowne obrazy. - To jest samochód, a to torba. A ja wyjmuję tę drugą z tego pierwszego.

Złośliwość i gburowatość okazały się błędem. Harry wiedział to już od jakiegoś czasu. Jacqui była słodką, pojętną blondynką i miała wydatne, gorące usta, ale nie brakowało jej języka w gębie.

Poza tym, a może przede wszystkim, była nianią, a one z reguły były czujne i zdeterminowane, bo tego wymagała ich praca. Na potwierdzenie tego obdarzyła go chłodnym spojrzeniem szarych oczu, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że nie zamierza się poddawać.

- Dlaczego? - Było to uzasadnione pytanie.

- Nadzwyczajna sytuacja.

Gdy pokręciła głową, jej miękkie włosy zakołysały się, jakby prosząc o dotknięcie. Ile czasu minęło, odkąd dotykał włosów kobiety...

Mocno zacisnął pięści.

Jacqui schyliła się do wnętrza bagażnika po następną torbę.

- Nie wygląda pan na głupca. - Wyprostowała się i odwróciła do niego.

Nie miał zamiaru rozprawiać na ten temat. W ogóle miał już dość tej rozmowy.

- Nie możecie tu zostać. Naprawdę.

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi, ale samochód został uszkodzony, a Maisie jest zmęczona, zaś pan, zgodnie ze swoimi słowami, nie może się nią zająć.

- Ale... - Nagle zdał sobie sprawę, że otwiera się przed nim ziejąca otchłań. Jeśli oświadczy, że potrafi zająć się małą dziewczynką, ta kobieta po prostu stąd odjedzie, zostawiając go z Maisie.

Przyjechał do Samotnego Szczytu w poszukiwaniu samotności i spokoju. Ona musi stąd zniknąć. I zabrać z sobą dziecko. Zaraz.

- Czy nie wspominała pani, że spieszy się na samolot? Skoro tak, to...

- Zawsze latają jakieś samoloty. - Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego ramienia i upewnić, by się nie martwił ich obecnością. - Będziemy się trzymać od pana z daleka.

Odsunął się, zanim zdążyła go dotknąć.

- To niemożliwe. Porozmawiam z Sally...

- Hm, to nie będzie łatwe. Nie jest pan pierwszy w kolejce. W tej chwili pańska kuzynka leci do Chin.

- Chin?

- Tam, skąd pochodzi jedwab. - Odwrócili się na dźwięk głosu Maisie, która stała w drzwiach. - Jacqui powiedziała tak przez telefon.

- Podśłuchiwałaś? - Jacqui próbowała sobie przypomnieć, czy powiedziała coś, czego Maisie nie powinna usłyszeć.

- Nie.

Maisie podniosła na nią oczy, w których malował się niewinny wyraz. Widziała to sto razy. Podśłuchiwała...

- Czekałam, aż skończysz, to wszystko. - Wbiegła do domu, pies za nią.

- Kiedy Sally dotrze do Chin? - spytał Harry.

- Nie mam pojęcia. - Objuczyła się bagażami i zatrzasnęła bagażnik. - Przypuszczam, że jutro, ale nie wiem, o jakiej porze. Być może wcześniej odczyta wiadomość, jeśli ma przesiadkę. Oczywiście będzie to środek nocy. I tak pewnie poczeka z telefonem.

Harry wątpił, czy różnica czasu powstrzyma jego kuzynkę. Był też absolutnie pewien, że nawet jeśli zadzwoni do domu, to nie okaże skruchy. Uzna za oczywiste, że ktoś posprząta zrobiony przez nią bałagan. Zawsze tak postępowała, i to od najmłodszych lat.

- Innymi słowy, mam was obie na noc - stwierdził z westchnieniem.

- Dzięki za zaproszenie. - Uśmiechnęła się. Ale nie był to miły uśmiech. Raczej pełen zrozumienia, że czekają go ciężkie czasy. - I za herbatę. O której jest obiad? .

- O której pani go poda, panno Moore. Ja potrafię tyl-

ko parzyć herbatę. - Chciał jednego: żeby stąd odjechała i każdy sposób był dobry.

- Czyżby ktoś pana zaprogramował na męskiego szowinistę?

- To u mnie genetyczne.

Zauważył z zainteresowaniem, że jej oczy zapłonęły, przybierając kolor srebra. Zapewne była wściekła. Nie zapewne, a na pewno.

- Spytałam tylko, o której pan jada - powiedziała z udawanym spokojem. - Nie chciałabym panu przeszkadzać. Oczywiście zapraszamy pana na podwieczorek na piątą w pokoju dzieciennym.

- W mojej lodówce nie ma żadnych rybnych paluszków czy parówek.

- Domyślam się, ale damy sobie radę.

Wzruszył ramionami.

- Maisie ma własny pokój we wschodniej wieży. - Oparł się naturalnemu odruchowi, by wyjąć jej z rąk torby i zanieść do domu. Im gorsze zdanie sobie o nim wyrobi, tym staranniej będzie go unikać. Nieprzystępny mruk, arogant, tak powinna o nim myśleć. - Pani może zająć sąsiedni pokój. Ale proszę się zbytnio nie zadamawiać. Nie zostanie tu pani ani chwili dłużej, niż to konieczne.

- Niebawem! To ostatecznie dowodzi, jak niewiele mamy z sobą wspólnego - stwierdziła chłodno. - Z drugiej jednak strony to samo obiecałam Maisie. Powiedziałam jej, że zostanę tak długo, aż znajdę kogoś, kto się nią zaopiekuje. - Uśmiechnęła się lekko.

Zignorował ten uśmiech.

- Cieszę się, że to słyszę. Proszę dać mi kluczyki, a wprowadzę samochód do garażu.

- W porządku. - Ta niespodziewana troskliwość zbiła ją z tropu. - Dziękuję, ale...

- Takiego grata nie można zostawić na noc na dworze, bo zardzewieje do reszty. Jutro rano zerknę na tłumik. Nie chcę, aby cokolwiek opóźniło pani wyjazd.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po spotkaniu z Harrym Talbotem Jacqui tak bardzo się trzęsła, że gdy wchodziła po schodach, jej nogi przypominały galarete.

Na szczęście Maisie niewiele zrozumiała z tej mało budzącej wymiany zdań i radośnie podskakiwała, prowadząc ją na drugie piętro.

Ale na co liczyła? Powinna wiedzieć, że olbrzym nie będzie zachwycony ich towarzystwem. Oczywiście, nie musiał traktować jej jak wroga, ale...

Lecz ona też nie zachowała się jak należy...

Jeśli Harry Talbot przypominał gniazdo os, nie powinna pakować w nie ręki.

To nie było do niej podobne. Zawsze zachowywała się taktownie, liczyła się ze zdaniem drugiej osoby. Czasami nawet dawała wejść sobie na głowę; chociażby ostatnio Vickie Campbell.

Jednak Harry Talbot doprowadził ją do białej gorączki, a ona, zamiast uspokoić sytuację, tylko dołała oliwy do ognia.

Stawienie mu czoła, jeśli to byłoby konieczne ze względu na Maisie, należało do jej obowiązków. Ale, niestety, zrobiła coś więcej.

Oczywiście została sprowokowana.

Patrzył na nią tak, jakby przybyła tu tylko po to, by go zirytować. A przecież nie dlatego zrezygnowała ze słonecznych wakacji, by rozkoszować się wietrzną i mglistą angielską wiosną!

- To mój pokój - oznajmiła Maisie, otwierając drzwi.

Jacqui oderwała myśli od Harryego Talbota. Pokój na szczycie wieży, który ukazał się jej oczom, przypominał komnatę księżniczki z bajki. Stało tu łóżko z koronkowym baldachimem i udrapowanymi zasłonami oraz meble ręcznie malowane w kwiatowe wzory w ostrych kolorach - od fiołkoworóżowego do purpury - zgaszonych nieco zielenią liści i gałęzi drzew.

Harry Talbot chyba zreperował piec, ponieważ w pomieszczeniu było ciepło i nie czuło się wilgoci.

- Uroczy pokój, Maisie. Czy babcia urządziła go specjalnie dla ciebie?

- Nie, mama zatrudniła dekoratora.

Głupie pytanie, pomyślała Jacqui, ganiąc się w duchu, podczas gdy dziewczynka podbiegała do okna.

- Możesz zobaczyć stąd pole, na którym pasie się moja Krówka.

Jacqui pospieszyła do okna, by podziwiać kucyka, ale przez zaparowaną szybę niewiele było widać.

- Niezbyt ładna pogoda. - Maisie zmarszczyła brwi. - Pewnie jest mu zimno.

- Skąd wiesz, czy nie stoi w stajni, gdzie jest ciepło i sucho?

- Pójdziemy sprawdzić?

Jacqui wołałaby trzymać się z daleka od zabudowań. Harry Talbot obiecał, że zajmie się jej samochodem i nie

chciała znów wpaść na niego. Ale Maisie nie była przyzwyczajona, żeby czegokolwiek jej odmawiano.

- W porządku, ale najpierw musisz się przebrać. Czy masz coś... - powstrzymała się, by nie powiedzieć „sensownego” - odpowiedniego do konnej jazdy? - Przypomniała jej się Bonnie Butler z „Przeminęło z wiatrem”, ubrana w błękitną, aksamitną amazonkę i strusie pióra. A może nie było tam piór? - Jakies spodnie? - Otworzyła torbę Maisie.

Wymijając sukienkę po sukience i wkładając je na różowofioletowe, watowane wieszaki, Jacqui doszła do wniosku, że biała, tiulowa suknia, w której dziewczynka podróżowała, była niezwykle skromna.

Maisie przywiozła nawet parę cienkich skrzydełek wrózki na jakąś nadzwyczajną okazję! Naszywane perełkami oraz srebrnym i różowym haftem, były rzeczywiście bardzo ładne, ale niewiele miały wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Nie znalazła natomiast džinsów. Ani pary markowych bryczesów, ani zrobionych na obstalunek oficerek. Nie było żadnych spodni. Ani toczka. Ani różowych, błyszczących kaloszy. Tylko liczne pary satynowych pantofelków pasujących do sukienek.

- Kalosze i płaszcze są w sieni - wyjaśniła Maisie.

- W porządku. Zaniosę moją torbę do pokoju i pójdziemy wybrać coś odpowiedniego.

Jej sypialnia, sądząc po spłowiałych tapetach, nie została dotknięta ręką dekoratora przez ostatnich pięćdziesiąt lat, Ale była ciepła i przytulna.

Dziesięć minut później szły przez dziedziniec na spotkanie z kucykiem. Jacqui, która miała na nogach swoje bu-

ty do kostek, nie musiała, tak jak Maisie, zakładać kaloszy. Pożyczyła tylko starą, woskowaną kurtkę.

Najmniejsza kurtka była zbyt duża dla Maisie. Dziewczynka zawinęła rękawy, ale Jacqui i tak nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc, jak nieporadnie idzie przez podwórze w za dużych, zielonych kaloszach, z wystającą spod kurtki białą sukienką i błyszczącą tiarą, sterzczącą na ciemnych włosach.

Maisie na pewno nie była tuzinkową dziewczynką.

- Dokąd to? - Harry stał w drzwiach do garażu, wycierając brudne od smaru ręce w szmatę.

- Maisie chciała przywitać się z Krówką. - Dlaczego jej głos brzmiał tak defensywnie? - Ze swoim kucykiem - wyjaśniła, widząc, że nie zorientował się, o czym mówi.

- Ach, więc on tak się nazywa... W porządku. Ale nie oddalajcie się zbyt. Łatwo zabłądzić w taką mgłę.

- Nie ma szans, żeby pana zgubić.

- To jest żart w pani stylu? - powiedział chłodno.

Nawet jeśli miał to być żart, to raczej nie wypalił, bo Harry wcale nie zanosił się ze śmiechu.

- Tak... Nie... Przykro mi. - I było jej przykro. - Naprawdę.

Wskazał głową odległy koniec podwórza.

- Kucyk stoi w ostatnim boksie. Nie dawajcie mu cukru. Jest stary i ma starte zęby. Znajdziecie marchewkę w żłobie przy ścianie.

Maisie pobiegła naprzód, ale Jacqui się nie poruszyła. Zrobiła przed chwilą bezduszną uwagę, zupełnie nie w swoim stylu, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i uciec.

- Co z moim samochodem? - spytała.

- Nie jestem mechanikiem, ale sądzę, że tłumik dokonał swego żywota. Zadzwonię do warsztatu. Niech się pani nie martwi. Dopiszą do mojego rachunku.

- Dziękuję.

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że wystarczająco dużo ucierpiała pani od rodziny Talbotów jak na jeden dzień. Radzę już pójść i upewnić się, że Maisie nie została stratowana przez swego konika.

- Nie śmiałyby tego zrobić.

W końcu Harry zdobył się na coś, co można by nazwać uśmiechem.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Idę zamknąć garaż...

- Ja też już idę...

Poruszył się pierwszy. Patrzyła za nim przez moment, a potem opanowała emocje i poszła w kierunku stajni.

- Znalazła pani coś na podwieczorek?

Jacqui spojrzała znad garnka, w którym mieszała sos. Nie widziała Harryego od czasu, gdy zostawiła go przed garażem. Nie ucieszyła się na jego widok, ale w końcu nie był ludojadem.

Oby tylko znów się z czymś nie wygłupiła...

- Gotuję spaghetti carbonara. A właściwie penne carbonara. Łatwiej sobie z nimi poradzić.

Uniósł brwi.

- Podwieczorki przygotowywane przez nianie, jak widać, bardzo się zmieniły od czasów mojego dzieciństwa. Mogłem tylko liczyć na makaron z serem.

-Nianie się zmieniają, dzieci też. Okazuje się, że to jedna z ulubionych potraw Maisie, a ponieważ wszystkie składniki były pod ręką... Ale kiedyś przygotuję paluszki rybne, o których pan wspominał. Oczywiście nie z mrożonek. Zrobię je sama.

- Nie wiedziałem, że pani potrafi.

Miała ochotę na złośliwą ripostę, ale ugryzła się w język. Maisie chciała tu zostać, więc drażnienie Harryego nie miało sensu.

- Takie rarytasy słono kosztują w eleganckich restauracjach. - Och, wcale nie wyglądał na bywalca ekskluzywnych lokali. - Jest pan głodny? Zrobiłam trochę więcej. - Nie chciała, by odmówił, zastosowała więc drobny wybieg. - Wstawię resztę do lodówki. Będzie pan mógł sobie podgrzać w dowolnym czasie.

Wyczuła, że się zawahał. Z jednej strony miał ochotę na prawdziwe jedzenie, nie takie z puszki, lecz z drugiej - chętnie by wyekspediował stąd Jacqui.

- Dziękuję - powiedział w końcu.

To nie z powodu rozczarowania ścisnęło jej się serce. Przez ulotną chwilę miała nadzieję, że Harry usiądzie przy stole i przyłączy się do nich. Wyobraziła sobie, jak nawiązuje z Maisie nić porozumienia przy wspólnym jedzeniu, a ona patroluje im niczym dobra wróżka.

Żałosne!

Tylko Maisie, jedyna wśród nich, miała skrzydła.

Ale Harry Talbot nadal był w kuchni. Chociaż całą uwagę skupiła na sosie, czuła za sobą jego obecność.

- Są lody w zamrażarce, jeśli Maisie ma ochotę - powiedział. - Chyba że woli pani zrobić jakiś oryginalny deser.

Starał się być miły. Na chwilę. Zamierzała wynagrodzić go uśmiechem, ale gdy się obróciła, już go nie było.

Wykapała Maisie, położyła ją do łóżka i zaczęła czytać bajkę o małym misiu.

Maisie usnęła, nim skończyła lekturę. Jacqui obserwowała przez chwilę, jak mała równomiernie oddycha, potem poprawiła kołdrę i przygasiła światło.

Gdzieś na drugim końcu świata inne dziecko wkrótce się obudzi i wyciągnie rączki w oczekiwaniu na pieśczętę innej kobiety...

Zamrugła i, dotykając bransoletki, stłumiła ból. Kąpiel. Potrzebowała ciepłej wody o zapachu lawendy. Musiała zapomnieć i uśmiechnąć się... Uspokoić cierpiące serce...

Włożyła szlafrok i zeszła na dół, żeby zaparzyć herbatę.

Paliły się tylko lampki pod szafkami, a środek kuchni tonał w półmroku. Kura w koszyku poruszyła się i zagdakała z dezaprobatą. Ominęła ją szerokim łukiem. Niezbyt lubiła kury, nawet te całkiem udomowione.

Koty poruszyły jedynie wąsami. Odwróciła się, dopiero kiedy podbiegł do niej pies w nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

Harry Talbot siedział przy kuchennym stole i kończył kolację. Nie wiadomo, które z nich było bardziej zaskoczone.

- Przepraszam - powiedziała - myślałam, że już dawno pan skończył.

-I tak by było, gdyby nie te cholerne osły! Niewdzięczne bestie uciekły, gdzie pieprz rośnie, gdy przyszedłem je

nakarmić. - Odchylił się na krześle. - Zanim zagnałem je z powrotem, byłem cały w błocie.

To wyjaśniało, dlaczego niesforne, ciemne włosy miał gładko szesane do tyłu i był ubrany w czyste dżinsy i granatową podkoszulkę. Wyglądał bardzo pociągająco.

- A co z lamą? Czy też uciekła?

- Skąd pani wie o lamie?

- Kobieta w sklepiku ostrzegła mnie, bym uważała na drodze.

- Kate znalazła dla niej dom w małym stadzie po drugiej stronie doliny.

- A ja myślałam, że ekspedientka fantazjuje.

- Nie, tym razem nie fantazjowała... A tak w ogóle, co pani tu robi?

- Nic - zachnęła się. - Przyjdę później. Nie będę przeszkadzać.

- Już pani to zrobiła, więc może pani zostać. Po co pani tu przyszła?

Nie zmienił swoich manier. Wszystko pozostało po starciu.

- Zamierzałam zrobić sobie coś ciepłego do picia.

- Proszę się nie krępować. Już skończyłem. - Zostawił na wpół zjedzony posiłek i zabrał się do wyjścia.

- Zrobić też panu...? - spytała cicho, uznając, że choć jedno z nich powinno zdobyć się na uprzejmość. No i padło na nią.

- Odgrywanie domowej bogini nie zmieni mojego nastawienia do pani, panno Moore. Potrafię sam zaparzyć sobie kawę.

- Oczywiście, że pan potrafi. Inaczej musiałby pan się bez niej obyć.

I tyle, jeśli chodzi o grzeczność. Choć próbowała nie dopuścić, by ją rozzłościł, wystarczyło jego jedno zdanie...

- Właściwie robię herbatę. - Z trudem próbowała się opanować. - Nie podważając pańskich wybitnych umiejętności w tym zakresie, mogę również zaparzyć panu kawę. Może pan wypić ją później, jeśli nie chce pan zostać.

Zapadła cisza. Atmosfera była aż gęsta od niewypowiedzianych słów. Nawet pies się nie poruszył.

Harry stał, jakby stopy wrosły mu w ziemię. Umysł podpowiadał mu, by wyjść. Nie znosił ludzi. Nie znosił tej bazy, która w jednej chwili była słodką kobietką, a w drugiej potrafiła ukąsić ciętym językiem. To było skomplikowane. Zbyt trudne. Od dawna myślał bardzo prosto, tylko o jednym - jak przetrwać. Jeśli straci ten cel z oczu, wiedział, że straci rozum.

Potrzebował samotności. To był jedyny sposób na przeżycie.

Ale jego ciało, które od dawna poddawało się jego woli, nagle stało się niezdolne do wykonania najprostszego rozkazu.

Cisza zdawała się napinać jak struna, lada moment mogła pęknąć. Jacqui nie rozumiała, co sprawiało mu taką trudność, że nie mógł odpowiedzieć na proste pytanie. Widziała, że bił się z myślami.

Drgnęła, gdy w końcu poruszył się i zaniósł talerz do zlewu. Zeskrobał resztki do kubła, opłukał talerz i włożył go do zmywarki.

- Jest pani bardzo irytującą kobietą, wie pani? - powiedział, trzaskając drzwiczkami.

To zależy od punktu widzenia. Ona uważała, że Harry był jeszcze bardziej irytujący. Ale dobre maniery - a może tylko instynkt samozachowawczy - tym razem powstrzymały ją od riposty. Zamiast tego przeszła przez kuchnię i nastawiła wodę w czajniku.

- Dobra kucharka, ale irytująca - ciągnął.

- To lepiej, niż irytująca zła kucharka. Żadnych zalet.

Nie był przygotowany do polemiki.

- Czy Maisie już śpi? - spytał.

- Już prawie dziesiąta. Oczywiście, że śpi.

- To nie takie oczywiste. Zazwyczaj nie śpi do późna w nocy, kręcąc się wśród dziwacznych przyjaciół Sally.

- Miała ciężki dzień. Nawet nie wytrzymała do końca bajki.

- Zdumiewające.

- Niezbyt pan ją lubi, prawda?

- Sally powinna poprzestać na ratowaniu zwierząt. Może je porzucić, gdy już zrobi sobie z nimi zdjęcie.

Co? Co on sugeruje?

- Maisie nie została porzucona!

- A jak by pani to nazwała?

- Jestem pewna, że dzisiejsze wydarzenia są tylko niefortunnym zbiegiem okoliczności. - Nie chciała oceniać sytuacji, dopóki nie pozna wszystkich faktów. - Właściwie chciałam pana o coś spytać... Czy Maisie ma tu jakieś ubrania odpowiednie do zabawy na dworze? W jej pokoju nic nie ma, ale to jak komnata z bajki o księżniczce. Dżin-sy byłyby niedopuszczalnym dysonansem.

- Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Zresztą Maisie nie będzie potrzebować tych ubrań, ponieważ tu nie zostanie.

Jacqui nie była wybuchową kobietą, ale najchętniej złapałaby Harryego za kudły i mocno sponiewierała. Niestety, najpewniej pękłby ze śmiechu, lepiej więc nie ryzykować.

Zagotowała się woda. Gdy Jacqui parzyła sobie herbatę, a Harry'emu kawę, wszystko przemyślała.

Jeśli będzie się starała go przekonać i jej się nie uda, to on jeszcze mocniej okopie się na swoich pozycjach. Im więcej razy Harry powtórzy, że Maisie tu nie zostanie, tym trudniej przyjdzie mu się z tego wycofać.

A Maisie chciała tu zostać...

Lepiej poczekać, aż Vickie złapie kontakt z Seliną Talbot. Wtedy wszystko się rozwiąże.

Na szczęście Harry jak na razie nie zamierzał uciekać, była więc okazja, by porozmawiać. Postara się go nie przestraszyć - dziwna myśl, zważywszy, że to on przypominał ludojada - i znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia.

Do tej pory nie rozmawiali z sobą normalnie.

- Ta kura mieszka w kuchni? - To pierwsze, co przyszło jej do głowy. - Czy jest chora?

- Kotka przyniosła ją, kiedy była kurczaczkiem, i uznała za swoje dziecko.

- Czyżby ta kura myślała, że jest kotem?

- To teoria ciotki Kate. - Spojrzał na nią wymownie.

- Pan w to nie wierzy?

- Nie zauważyłem problemu z identyfikacją, kiedy straszysz pióra, ale jeśli miałaby pani wybór między koszykiem przy piecu a powrotem do zimnego kurnika, co by pani wybrała?

- To głęboko cyniczny punkt widzenia.

- A jaka jest pani odpowiedź?

- To inteligenta kura... Dopiero koty się zdziwią, gdy zniesie jajko.

Hm, prawie go miała. Właściwie się nie uśmiechnął, ale przynajmniej wykrzywił kącik ust. Podniósł dzbanek z kawą i nalał sobie filiżankę.

Klasyczne zachowanie, by odwrócić jej uwagę, pomyślała. Zrobiłaby to samo, gdyby próbowała ukryć uśmiech. Lub łzy.

Może jeszcze nie wszystko stracone.

- Dokąd pani się wybierała? - Zerknął na nią z ukosa i przyłapał, że go obserwuje.

- Nigdzie - powiedziała z lekka podenerwowana.

- Mam na myśli wakacje.

Och, to. Zdażyła już zapomnieć o Hiszpanii. Zresztą tu było aż nadto gorąco. I to nie z powodu tłoku. Przestrzeni było dosyć, ale pluszowy szlafrok okazał się o wiele za ciepły.

I niewystarczająco przyzwoity. Co prawda miał normalną długość, ale teraz Jacqui wydawało się, że powinien zakrywać kostki. I był zbyt opięty. Nawet nie śmiała spojrzeć w dół w obawie, że mógł się rozchylić i wyeksponować uda. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczął patrzeć na *jej* nogi...

Nie wydawał się zainteresowany jej nogami. Wprost przeciwnie, utkwiał wzrok w jej dekolcie, tam, gdzie stykały się poły szlafroka.

Przypomniała sobie, że pod szlafrokiem nie ma skromnej piżamy, jaką zwykle nosiły nianie, zmuszone wstawać w środku nocy do płaczącego dziecka.

Oczywiście bawełniane szorty i koszulka na ramiączkach w gruncie rzeczy nie miały w sobie nic frywolnego. Na hiszpańskiej plaży nosiłaby jeszcze mniej...

Ale teraz nie była na plaży, tylko sama w domu z mężczyzną, którego nie znała. I on gapił się na jej dekolt.

Niedobrze.

Tym gorzej, że serce zaczęło jej bić szybciej.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Z mlekiem? - Nie czekając na odpowiedź, Jacqui poszła do lodówki, owijając się ściślej szlafrokiem.

- Nie, dziękuję - powiedział, gdy podała mu dzbanek.

Miała wrażenie, że zauważył jej manewry ze szlafrokiem, choć powstrzymał się od triumfalnego uśmiechu.

Wyjęła torebkę z herbatą i dołączyła sobie mleka.

- Nie za późno na czarną kawę?

Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie typu: „Uważaj, stąpasz po cienkiej linii!”. Pewnie miało to ją skłonić do ucieczki.

- Nic osobistego, panie Talbot, to zawodowa uwaga.

- Proszę łaskawie zatrzymać ją dla Maisie, panno Mary Poppins.

Jeśli chciał, żeby się wycofała, musiał bardziej się postarać. Ostatecznie Mary Poppins była doskonałą nianią, osobą ze wszech miar pozytywną.

- Brak snu każdemu psuje humor. - Wytrzymała jego spojrzenie, choć harda była tylko na zewnątrz. Zarazem głos wewnętrzny podpowiadał jej: „Dotknij go, on potrzebuje kogoś, kto go przytuli”.

- Ma pan rację, to nie moja sprawa. Proszę tylko mnie nie winić, jeśli znów pan nie zaśnie.

- A dlaczego nie? Przecież oboje świetnie wiemy, że to przez panią nie mogę spać.

Umilkł, zaskoczony własnymi słowami. Zapomniał, co chciał powiedzieć. Czas stanął, powietrze zgęstniało.

Jacqui stała się świadoma swego ciała jak nigdy dotąd, a oczyma duszy zobaczyła Harryego, jak w przyćmionym świetle sypialni leży na plecach, oparty o poduszki, z gołymi ramionami pod głową i szeroko otwartymi oczami. I myśli o niej.

Uff... Co tu dużo mówić, poczuła seksualne podniecenie, ze wszelkimi tego oznakami. Ale cóż, od dawna, wciąż pochłonięta pracą, zapomniała o fizycznych potrzebach ciała.

- A więc jestem jak kolec w pańskim materacu - powiedziała, żeby rozładować napięcie. A ponieważ nie chciała rozprawić o jego materacu, wróciła do wcześniejszego pytania: - Wybierałam się do Hiszpanii.

- Do Hiszpanii? Zaraz... Ach, pani wakacje! Wybierała się pani sama?

Na pewno wcześniej nie zadałby tego pytania. Najmądrzej byłoby wziąć kubek, powiedzieć dobranoc i wycofać się w zacisze swego pokoju. Ale wtedy już nigdy nie poznałaby choć trochę Harryego Talbota.

A powinna, oczywiście ze względu na Maisie.

Napiła się herbaty, ponieważ zaschło jej w ustach, i powiedziała:

- Czy to ma znaczenie?

- Jeśli miała pani jechać ze swoim chłopakiem, na pewno bardzo się zezłościł tą nagłą zmianą planów.

- Jeśli bym jechała ze swoim chłopakiem, sama bym się najbardziej wściekła. Ale proszę się uspokoić, nie musi się pan obawiać, że rozwścieczony facet stanie na pańskim progu i zrobi awanturę albo coś jeszcze gorszego.

Wcale się nie uspokoił, wręcz przeciwnie, był zawiedziony. Pewnie z radością przyjąłby w swym domu zirytowanego samca, który by mu pomógł w dziele gnębienia Jacqui Moore, a potem zabrał ją z sobą na zawsze.

- Jest mnóstwo lotów do Hiszpanii. Samochód da się łatwo naprawić. Straciła pani tylko jeden dzień.

By wyrazić tę treść, równie dobrze mógł złapać Jacqui za kark i bez słowa wystawić za próg.

- Sprawa nie jest tak prosta. To był bilet last minute. Nie lecis, tracisz.

- Nie można zmienić terminu?

- Nie lecis, tracisz - powtórzyła z lekką irytacją. - Ale proszę się nie przejmować. Agencja załatwi to z pańską kuzynką. Obiecano mi rekompensatę.

- Świetnie. Ale dostanie pani pieniądze najwcześniej za dwa tygodnie.

- To nie ma znaczenia. Pracuję na zlecenie. Mogę zrobić sobie przerwę, kiedy zechcę.

- Mógłbym pokryć pani straty, a potem rozliczyć się z Sally.

- Wielkie nieba, naprawdę chce się pan mnie pozbyć!

- Udała, że traktuje to jako dowcip. - Zapłata za naprawę samochodu, do tego rekompensata za stracone wakacje. No, no...

- Usiłuję postępować rozsądnie.

Rozsądnie!

Rozsądnie byłoby, gdyby powiedział: „Przykro mi, że doznałaś tylu kłopotów. Rozgość się przynajmniej do czasu, aż moja beznadziejna rodzina załatwi to między sobą”.

Albo coś w tym rodzaju.

- Pan naprawdę nic nie rozumie?

- Niby czego?

Upiła trochę herbaty, a potem odważyła się na niego spojrzeć sponad kubka. Wyglądał na człowieka naprawdę zdesperowanego, ale nie miała specjalnych wyrzutów sumienia. To on zachowywał się jak gbur.

- Tego, że nie mogę nigdzie wyjechać, dopóki Maisie nie będzie bezpieczna.

- Mam inny pomysł, panno Moore. Proszę wyjechać do Hiszpanii i zabrać z sobą Maisie. - Czekał na pełną zapału odpowiedź, a kiedy się nie doczekał, dodał zachęcająco: - W ten sposób, leżąc na słońcu, jeszcze pani zarobi.

Roześmiała się.

- Rzeczywiście ma pan bardzo mizerne pojęcie o opiece nad dzieckiem.

- Dopłacę pani.

- Przykro mi - skłamała, bo Harry wcale nie zasługiwał na współczucie. - Przynajmniej z dwóch powodów nie mogę przyjąć tej propozycji. Po pierwsze, potrzebna by była notarialna zgoda na wywóz Maisie z kraju. Po drugie, nic pan o mnie nie wie... - Nagle zrobiła się na niego zła, że nie posiadał żadnych uczuć rodzinnych i poczucia odpowiedzialności. - Czy pan ma pojęcie, ile można dostać za ładną, zdrową małą dziewczynkę na nielegalnym rynku adopcji?

- Z pewnością lepiej znam się na sprawach finansowych niż pani. Poza tym nie jestem tak głupi, na jakiego wyglądam. Zadzwońtem do agencji i uroczą pani Campbell wysłała mi pani CV wraz z referencjami.

- Doprawdy?

- Dlaczego pani porzuciła studia na drugim roku?

Zostawiła to pytanie bez odpowiedzi. To była zwykła przepychanka, próba sił, demonstracja, że naprawdę wszystko o niej wiedział. A ona nie wiedziała o nim nic. Z wyjątkiem tego, że miał zły charakter.

Stanowczo to nie był jej dobry dzień.

Najpierw mała księżniczka, potem olbrzym...

- A więc wyjaśniliśmy już ten mały problem - ciągnął.
- Prześlę faksem pisemną zgodę do agencji. Jaki jest drugi powód?

Najwyższy czas, by zdobyła punkt.

- Maisie chce tu zostać. A moja praca... - nie był to najlepszy moment, by powiedzieć mu, że nie otrzymała za to zapłaty - moja praca polega na tym, by uczynić ją szczęśliwą. Nie mogę postąpić wbrew woli Maisie. - By uniemożliwić mu wszelkie protesty, wstała gwałtownie. - Dobranoc, panie Talbot. - Ruszyła do drzwi. - Miłych snów.

Ostatnie dwa słowa były błędem i tylko dlatego, że niosła kubek z gorącą herbatą, nie puściła się biegiem.

- Mam na imię Harry - powiedział, gdy była już w progu. - Mów do mnie Harry. - Tego się nie spodziewała. - Myślę, że wymieniliśmy dostatecznie dużo złośliwości, żeby porzucić zbędne ceremonie, nieprawdaż?

Gdy spojrzała na niego, musiała przyznać, że ją pociągał. Gdyby obciął włosy i ogolił się, kobiety mdlałyby na jego widok.

Jaka szkoda, że jego dusza nie pasowało do tego pięknego ciała...

- Poddaje się pan, panie Talbot?

Zacisnął szczękę. Czyżby go zraniła?

Niemożliwe, by facet tej postury i tego charakteru był taki wrażliwy. Pożałowała, że nie trzymała języka za zę-

bami i nie uśmiechnęła się zachęcająco, by dać mu szansę sprecyzowania propozycji.

Ale wtedy Harry Talbot uniósł potężne ramiona i powiedział:

- Nie, panno Moore. Po prostu proponuję rozejm na dzisiejszą noc.

Nie stała mu się krzywda. Był taki sam jak zawsze.

Wyobraziła sobie, że została uwięziona na spowitym mgłą wzgórzu z małą księżniczką i złym olbrzymem... Co powinna zrobić, żeby zmienić Harry'ego Talbota w księcia z bajki? Na razie zaparzyła mu dobrą kawę, ale niewiele to pomogło.

Pocałunek byłby tradycyjnym lekarstwem...

- W takim wypadku - powiedziała szybko, spłoszona własnymi myślami - do następnej bitwy. Dobranoc, pannie... dobranoc, Harry.

Czekała z ręką na klamce, mając nadzieję, że zrobi jakiś pojednawczy gest. Zaproponuje coś więcej.

Ale on tylko powiedział:

- Dobranoc, Jacqui.

Nie miała wyboru, jak zniknąć, ale wchodziła po schodach z uczuciem żalu.

Nie potrafiła tego sprecyzować, nabrała jednak niepokojącej pewności, że zbliżyła się do czegoś niezwykle ważnego, ale - zbyt zajęta obroną własnej pozycji - nie zdołała tego rozpoznać.

Wstąpiła do Maisie, poprawiła jej kołdrę, a potem z ciężkim sercem poszła do siebie.

Harry nie poruszał się przez dłuższą chwilę. Kawa w kubku całkiem wystygła. Czekał, aż wszystko wróci na

swoje miejsce, jakby obecność Jacqui Moore spowodowała niebywałe zakłócenia atmosferyczne.

Po chwili kot przeciągnął się i podszedł do drzwi jak ciemny cień wyruszający na nocne łowy. Stary ogar wstał i dotknął pyskiem dłoni swego pana, przypominając o wieczornym spacerze.

Zwierzęta wydawały się nieświadome nadal uchwytnych w powietrzu zawirowań, związanych z niedawną obecnością Jacqui.

Harry zdjął z kołka płaszcz i wyruszył na wzgórze. Stare labradory ruszyły przodem, ale ogar dotrzymywał mu towarzysztwa, gdy zdecydowanym krokiem maszerował w dal, chcąc za wszelką cenę wymazać pewną nianię ze swego umysłu i serca.

Jacqui zostawiła Maisie, która wahała się, co włożyć: sukienkę z różowej tafty czy żółtego jedwabiu, i zeszła na dół, by poszukać dla małej jakiegoś praktycznego i wygodnego ubrania.

Zajrzała do gabinetu, ale nie było tam Harryego. Nic nie świadczyło o jego obecności. Poczta, którą zostawiła na jego biurku, wciąż leżała nieruszona.

W kuchni zastała kobietę w średnim wieku, która wymowała naczynia ze zmywarki.

- Pani jest Susan? - spytała, ucieszona widokiem potencjalnego sojusznika. - Nazywam się Jacqui. Jestem tymczasową opiekunką Maisie. Czy pan Talbot wyjaśnił już nieporozumienie?

- Pan Harry? Nie, ale staram się mu schodzić z drogi - powiedziała gosposia. - Przychodzę tu codziennie, ponieważ obiecałam to pani Talbot. Pilnuję, żeby miał

coś do jedzenia. - Wzruszyła ramionami: - Oczywiście słyszałam, że ktoś przywiózł wczoraj wieczorem panienkę Maisie.

Jacqui nie była zdziwiona, domyśliła się bowiem, że jej przyjazd oplotkowano w wiejskim sklepiku.

- Spodziewałam się, że zastanę tu panią Talbot. Maisie miała z nią zostać podczas nieobecności swojej matki.

- Doprawdy? To dopiero nowina! Starsza pani pojechała przecież do swojej siostry do Nowej Zelandii.

- Dowiedziałam się o tym dopiero od pana Talbota, jak tu dotarłam.

- Zapłacił za wszystko. Popłynęła pierwszą klasą.

- To szczerze z jego strony.

- Być może - powiedziała Susan z wahaniem, którego Jacqui nie rozumiała.

- Nie wiedziała o przyjeździe Maisie?

- Nie. Panna Sally nigdy nie robi takich dalekosiężnych planów.

Jacqui zmarszczyła brwi. Dalekosiężnych?

- Kiedy pani Talbot wyjechała do Nowej Zelandii?

- W listopadzie zeszłego roku.

- To przecież pięć miesięcy temu!

- To prawda. Nie spieszyła się. Popłynęła statkiem i dotarła tam na Boże Narodzenie.

-Och.

- Nie było przecież sensu jechać tam na pięć minut.

- Kiedy wraca?

- Nie wiem. W ostatnim liście napisała, że jeśli pan Harry jest tu szczęśliwy i daje sobie radę, to przedłuży swój pobyt.

- A jest tu szczęśliwy?

- Tego bym nie powiedziała. Ale nie spieszy się z wyjazdem. Chyba tylko tutaj czuje się jak u siebie.

Powstrzymała pytanie cisnące się na usta, by nie wyjść na wścibską. Powinna jednak wielu rzeczy się dowiedzieć, bo sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

- Nie rozumiem, dlaczego panna Talbot przysłała tutaj Maisie. Musiała wiedzieć, że matki tu nie ma...

- Ona żyje we własnym świecie. Zawsze tak było.

- Mimo to dziwię się, że popełniła taki błąd. - Jacqui nastawiła czajnik. - Zrobić pani herbatę?

- Na razie nie, dziękuję. Idę nakarmić kury, ale po powrocie chętnie się napiję. Jest bardzo zimno. - Z dezaprobatą obrzuciła wzrokiem lekki strój Jacqui i skierowała się do drzwi.

Jacqui była rozczarowana. Nie lubiła plotek, zarazem miała jednak nadzieję, że gawędząc przy herbacie, uzyska odpowiedzi na różne pytania, które nie dawały jej spać pół nocy.

- Zgoda... Ale zanim pani wyjdzie, jeśli można, chciałabym o coś spytać.

- Może pani - odpowiedziała Susan z rezerwą - Ale nie obiecuję, że odpowiem.

- Chodzi o to, że Maisie nie przywiozła z sobą odpowiednich ubrań. W jej pokoju nic nie znalazłam, a pan Talbot nie wie, gdzie jest dodatkowa garderoba.

- A niby skąd miałby wiedzieć.

- Tym bardziej ja nie wiem. - Jacqui z trudem pohamowała narastającą irytację.

- On zwykle baluje po świecie. Nie odzywa się miesiącami, a nawet latami. A potem zjawia się ni stąd, ni zowąd.

Och, więc tylko zbieg okoliczności sprawił, że go tu spotkała...

Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej, ale Susan już wychodziła do sieni.

- Może więc pani wie? - spytała zdenerwowana.

- Ona nie trzyma tu ubrań. - Susan wyszła do sieni i sięgnęła po płaszczy. - Jej ostatnia niania zawsze pakowała wszystko, co było potrzebne. - W tych słowach pobrzmiwała nuta ledwie zawołowanej przygany.

- Ona wiedziała, że przyjeżdża tu na dłużej, a ja miałam tylko przywieźć Maisie do babci. No i teraz muszę sobie radzić z tym, co mam. Z różową taftą i kaloszami.

- Proszę zajrzeć do starego pokoju dzieciennego - powiedziała Susan łagodniej. - Może znajdzie tam pani coś, co należało do panny Sałły. Piąte drzwi na górze.

- Dziękuję, Susan. - Jacqui uśmiechnęła się. - I zapraszam na herbatę i kanapkę z bekonem, gdy już nakarmisz kury.

- Dziękuję, wrócę za pół godziny. - Gospościa rozpromieniła się.

Jacqui weszła na półpiętro i zgodnie z instrukcją skrzyła w prawo; znalazła się w szerokim korytarzu oświetlonym rzędem okien, skąd rozciągał się wspaniały widok na wzgórze.

Błyszczącą podłogę przecinał turecki chodnik, przy wewnętrznej ścianie stały stare skrzynie, a na ścianach wisiało kilka dobrych płócien. Była to prawdziwa pańska rezydencja.

Szkoda tylko, że gospodarz do niej nie pasuje, myślała, licząc drzwi. Dotarła do piątych. To było centralne miejsce w domu i raczej nie spodziewała się znaleźć tu pokoju dzie-

cinnego, ale otworzyła drzwi i weszła do środka. Ponieważ było wcześniej rano, a wzgórze spowijała mgła, w pokoju panowały jeszcze ciemności. Sięgnęła do kontaktu.

Gdy światło imponującego żyrandola rozbłysło, od razu zorientowała się, że miała rację. To nie był pokój dziecinny, ale główna sypialnia, wytwornie umeblowana, zapewne jeszcze w czasach regencji. Pośrodku pokoju stało wielkie łóże z baldachimem wspartym na czterech kolumnach.

Gdy odwróciła się, by jak najszybciej uciec, zmierzyła się twarzą w twarz z Harrym Talbotem. Stał przed komodą, najwyraźniej szukając bielizny.

Nie dość, że weszła do pokoju bez pukania, to na dodatek on właśnie wyszedł spod prysznica, ubrany jedynie w ręcznik opasający biodra.

Gdy z impetem odwrócił się do niej, ręcznik przegrał z siłą ciężenia. I opadł.

Nie poruszył się, by go podnieść. Chciała go przeprosić i już otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu.

Był taki piękny...

Smukły, a jednocześnie mocny i umięśniony jak grecki bóg. Z jego włosów, gęstych i ciężkich, skręconych w grube loki, wolną, zmysłową strużką spływały krople wody. Obserwowała, jak jedna kropla ścieka na jego ramiona, a potem płynie po klatce piersiowej.

Był piękny jak Dawid Michała Anioła.

W kontraście z tym pięknem blizny szpecące jego plecy były tym bardziej straszliwe.

Niewiele myśląc, wyciągnęła ku niemu rękę, ale zanim jej palce dotknęły pokaleczonej skóry, złapał ją za nadgarstek i gwałtownie wypchnął z pokoju.

- Zostań tu - odezwał się. - Nie ruszaj się. - Nie czekając, aż go posłucha, zamknął jej drzwi przed nosem.

Nie musiał tego mówić. Nawet gdyby chciała uciekać, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Cała się trzęsła. Zakryła usta dłońmi, jakby powstrzymując krzyk.

Co mu się stało...? Nigdy w życiu nie widziała tak okropnych blizn.

Oparła się o futrynę drzwi, prawie wpadając na niego, gdy je znów otworzył, owinięty grubym szlafrokiem.

- Wszystko w porządku? - spytał, ściskając jej ramiona, żeby trzymać ją na dystans.

Gdy jego płace wpiły się w jej ciało, nawet nie jęknęła. Ani przez chwilę nie wierzyła, że robił to celowo. Nie spytała również, co miał na myśli. Po prostu skinęła głową.

Rozluźnił uścisk, ale nie puścił jej.

Być może, pomyślała, widząc z bliska jego wymizowaną twarz, jakby od dawien dawna nie sypiał - to on potrzebował wsparcia.

- Cóż takiego nie może poczekać? Czyżby Sally zadzwoniła?

Tak trzeźwo. Tak rzeczowo. Pomiął milczeniem to, co zobaczyła, ale bolesne wbicie palców w jej skórę świadczyło, że był bardzo poruszony.

- Nie. Jest zbyt wcześnie, żeby powiadamiać agencję. Wcale nie szukałam ciebie. Szukałam starego pokoju dzieciennego. Susan powiedziała, że mogę znaleźć tam coś odpowiedniego dla Maisie. Na górze, piąte drzwi, poinstruowała mnie.

Jakby to miało znaczenie, co powiedziała Susan! Albo w jakim stroju Maisie będzie bawić się w stajni...

Musiała wiedzieć...

- Harry...

- Myślała, że wejdiesz na frontowe schody. To tędy. -
Wziął ją pod ramię i mocno podtrzymując, jakby miała za-
raz zemdleć, poprowadził z powrotem korytarzem. - Dalej
sobie poradzisz. - Szybko obrócił się i odszedł.

- Harry!

Zatrzymał się na progu swego pokoju.

- Nie pytaj - ostrzegł.

Przez moment żadne z nich się nie poruszyło, żadne
nie powiedziało ani słowa. Potem Harry wszedł do środka
i zamknął drzwi.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maisie nie zachwyciła się znalezionymi ubraniami. Zdecydowanie wolała swoją różową, taftową sukienkę.

- Te ciuchy śmierdzą - skwitowała, krzywiąc nos.
- Dawno nie były noszone. Oczywiście najpierw je upierzemy. Chciałabym tylko sprawdzić, czy pasują.
- Nie pasują.
- Być może - przyznała Jacqui z szelmowskim uśmiechem. - Twoja mama musiała być od ciebie wyższa.
- To nieprawda. Powiedziała mi, że była tego samego wzrostu.

Odwołanie się do jej ambicji przyniosło oczekiwany rezultat.

- Skoro do niej należały, to muszą pasować.

Maisie chwyciła bluzę z dziecienną aplikacją na przodzie i rozpostarła ją przed sobą.

- Moja mama nigdy by nie ubrała się w coś takiego.

Przewidując tę reakcję, Jacqui pokazała jej fotografię, którą odpięła z tablicy korkowej w starym pokoju dzieciennym. Była wymięta i trochę już wyblakła. Czy Selina zachowała zdjęcie z powodu szczeniaka, którego trzymała na rękach? Czy może raczej dlatego, że za nią stał jej starszy kuzyn, Harry, i opiekuńczo obejmował ją ramieniem?

Wszystko jedno. Najważniejsze, że miała na sobie właśnie tę bluzę.

- Po co by trzymała coś tak beznadziejnego? - spytała Maisie, odwracając się od zdjęcia, wcale niespieszona tym, że jednak się pomyliła.

- Czasami trzyma się ulubioną sukienkę, nawet wiedząc, że już nigdy nie będzie pasować.

Maisie wzruszyła ramionami.

- Być może... Czy to wujek Harry stoi obok mamy?

Jacqui spojrzała znów na fotografię, a potem zwróciła ją dziewczynce.

- Dlaczego sama go nie spytasz?

- Nie trzeba - odparła Maisie, bawiąc się guzikiem. - To na pewno on.

- Chyba że ma brata bliźniaka.

Jacqui już wiedziała, dlaczego Selina trzymała tę fotografię w widocznym miejscu. Dorosły Harry miał kilka poważnych wad, ale wtedy był tylko bardzo przystojnym chłopcem. Mógł być dla małej Seliny idolem. Położył rękę na jej ramieniu... Pewnie ta bluza stanowiła specjalną pamiątkę.

- Na razie jest kiepska pogoda, więc nie możesz wyjść na dwór - powiedziała. - Wrzucę bluzę do pralki, a po południu, jeśli się przejaśni, zrobię ci w niej fotografię.

Brak odpowiedzi.

- Ze szczeniakiem - zachęciła. - Pokażesz oba zdjęcia mamie, gdy wróci do domu. Jestem pewna, że jej się spodobają.

- Jeśli Harry da się sfotografować - stwierdziła Maisie, nie zważając, że zapędza się w kozi róg - zdjęcie będzie takie samo.

- Świetny pomysł. - Czy Harry Talbot tak myślał, to już inna sprawa.

- Poprosisz go o to? - spytała Maisie z naciskiem.

- Oczywiście, kochanie. Oczywiście, że go poproszę.

- Najpierw poproś - powiedziała dziewczynka z determinacją. - Zanim to włożę.

Tego się mogła spodziewać.

Maisie była bystra i, jak widać, potrafiła się targować.

Jacqui na szczęście nie musiała od razu przystępować do negocjacji, ponieważ Harry'ego nie było w pobliżu. Po śniadaniu zostawiła Maisie w kuchni, gdzie Susan piekła ciasto, i poszła zadzwonić do Vickie.

Gdy otworzyła drzwi do gabinetu, Harry spojrzał na nią znad stosu listów tak złym wzrokiem, że instynktownie zrobiła krok w tył. To jednak prawdziwy ludojad, pomyślała z desperacją.

- Przepraszam, nie chciałam ci zakłócić spokoju.

- W ogóle go zakłócasz swoją obecnością w tym domu.

- Wziął głęboki oddech, a może policzył do dziesięciu, by odzyskać zimną krew. - Rozumiem, że nic na to nie można poradzić, ale czy przynajmniej mogłabyś przestać się wokół mnie kręcić?

- Bardziej by pomogło, gdybyś nie czuł się obrażony samym moim widokiem.

- Och, nie przesadzaj, jesteś przewra... - zaczął z irytacją, potem umilkł, zastanawiał się przez chwilę. I zrobił to, co na ogół robią mężczyźni, gdy dociera do nich, że postąpili źle. Zaatakował. - Czy to ty zostawiłaś ten stos śmieci?

- Jeśli masz na myśli pocztę, to tak. Właścicielka skle-

piku na dole prosiła, bym ją przywiozła. Zatrzymałam się, pytając o drogę.

- Kiedy będziesz stąd wyjeżdżać, sugeruję, byś zabrała to z powrotem i powiedziała jej...

- Mam lepszy pomysł, panie Talbot - przerwała mu ostro. Cokolwiek mu się w życiu przytrafiło, nie była to jej wina i nie zamierzała zbierać za to cięgów. - Powiedz jej to sam! - Wiedziała, że jeszcze chwila, a naprawdę skoczą sobie do oczu, więc zmieniła temat. - Czy miałeś wiadomość od swojej kuzynki?

- Nie. Z twojej agencji też brak wieści, jak przypuszczam?

- Właśnie zamierzałam tam zadzwonić.

- Nie krępuj się.

Popchnął telefon w jej kierunku. Po chwili stwierdziła:

- Nie ma sygnału.

Wyrwał jej słuchawkę i z niedowierzaniem przyłożył do ucha.

- Pomyliłam się? - spytała ze zwodniczą słodyczą.

Być może nieuprzejmym zachowaniem bronił się przed współczuciem, które mogłaby mu okazać?

Mruknął coś pod nosem. Nie prosiła o powtórzenie. Na pewno nie straciła nic ważnego.

- To się stale zdarza. Skorzystaj z komórki.

- Zgłośzę uszkodzenie, dobrze?

- Jeśli chcesz.

A może zostawić go odciętego od świata? - pomyślała. Świat jej tylko za to podziękuje.

Jednak tę złotą myśl zachowała dla siebie. Nie było sensu podsycać kłótni, skoro zamierzała poprosić go o przysługę dla Maisie.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw zadzwoni.

Dobre wieści z całą pewnością wprawią Harryego w lepszy nastrój.

Był tylko jeden problem. Nie mogła znaleźć swojej komórki.

Sprawdziła dokładnie kieszenie, gdzie zwykle nosiła telefon w ciągu dnia, a potem stolik przy łóżku, gdzie trzymała go w nocy.

Na stoliku, gdzie powinien leżeć telefon, znalazła srebrną bransoletkę. Zapięła ją na nadgarstku. Potem dla pewności zajrzała pod łóżko. Ale niczego nie znalazła.

Telefonu nie było również w kuchni. Maisie w kuchennym fartuchu, umorusana mąką, zrobiła obojętną minę, gdy ją spytała, czy nie widziała telefonu.

Gabinet był jedynym miejscem, które pozostało i jednocześnie ostatnim, gdzie, o ile dobrze zapamiętała, miała telefon przy sobie. Choć niechętnie, Jacqui musiała więc wrócić do jaskini lwa. Tym razem zapukała do drzwi, zanim je otworzyła.

- Tak? - Harry podniósł wzrok.

- Nie mogę znaleźć komórki - powiedziała. - Jeśli jej tutaj nie ma, nie wiem, gdzie szukać.

- Nie widziałem jej, ale - wskazał pocztę rozrzuconą na biurku - możesz poszukać pod tym stosem.

Zaczęła przerzucać listy. Oferty reklamowe wyrzuciła do kosza, zostawiając osobiste listy oraz rachunki na oddzielnej kupce.

Gdy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że ją obserwuje.

- Co się stało?

- Pracuj dalej, świetnie ci idzie.

- Cieszę się, że mogę się na coś przydać, nawet jeśli to tylko segregacja śmieci. - Zaczynała czuć zażenowanie pod jego bacznym wzrokiem. - Możesz zastrzec swoją skrzynkę pocztową. Nie będą przysyłać reklamówek. Jeden telefon wystarczy, by ocalić planetę. - Wyrzuciła ostatnią ulotkę i ułożyła pozostałe papiery na biurku. - Potrzebuję telefonu. Naprawdę go tu nie ma? - I dodała z lekką desperacją: - To niemożliwe. Gdzieś musi być. Możesz wstać...?

Pochyliła się, żeby sprawdzić pod krzesłem.

- Tu nie ma - powiedziała, wycofując się.

- Być może spadł na podłogę.

Uklękała, zanim zdała sobie sprawę, że on zrobił to samo. Gdy podniosła wzrok, patrzyli sobie w oczy.

Powinna się uśmiechnąć i szukać dalej. Ale była skrępowana. Z bliska jego jasnobrązowe oczy wręcz buchały ogniem, cofnęła się więc instynktownie i uderzyła o krawędź biurka. Z jękiem bólu opadła znów na kolana.

Gdy się ocknęła, siedziała na krześle. Harry Talbot klęczał przed nią, wpatrzony w jej oczy.

- Jacqui?

- Nic mi nie jest - powiedziała, usiłując wstać. - Wszystko w porządku.

Przytrzymał ją na krześle.

- Nie ruszaj się. Nieźle się walnęłaś.

- Wcale nie... - Ale czuła, że głowa jej pęka, a nogi miała jak z waty. - Zaraz przejdzie.

- Spójrz na mnie. - Och, od tego właśnie zaczęły się kłopoty. ... - Ile palców pokazuję?

Zadowolony, że nie widzi podwójnie, wstał i delikatnie

rozdzielił jej włosy nad czołem, by dokładnie przyjrzeć się stłuczeniu.

- Czy... czy jesteś doktorem? - spytała zadziwiająco łagodnym głosem.

- Tak. Przewiduję ból głowy i guz wielkości jaja.

- Naprawdę jesteś lekarzem?

- Nie praktykuję od pewnego czasu, ale potrafię poradzić sobie z niewielkim guzem.

- Niewielkim!

- Widzę, że wracasz do siebie. Przyniosę lód.

- Nie trzeba.

- Cóż to, podważasz moją diagnozę? Czyżbyś też była lekarzem?

- Po co ten sarkazm? Poza tym czytałeś moje CV i wiesz, kim jestem.

- Co nieco wiem, chociaż nadal chciałbym się dowiedzieć, dlaczego przerwałaś studia pielęgniarские. - Gdy zaczerpnęła oddechu, by odpowiedzieć, podniósł groźnie palec do góry. - Cicho. Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Zaraz wracam.

- Zamierzałam tylko powiedzieć, żebyś zajmował się swoimi sprawami - burknęła buntowniczo, ale Harry opuścił już pokój.

Po chwili wrócił z pokruszonym lodem owiniętym w ścierkę i położył go delikatnie na jej czole.

- Susan przyniesie ci herbatę. No i jak?

- Zimno. - A ponieważ to zabrzmiało niewdzięcznie, dodała: - Cudownie zimno. - Nie kłamała, bo okład z lodu był rewelacyjny. Na samą myśl o herbacie robiło jej się nie-dobrze. Ale mu tego nie powiedziała. Doktor Harry Talbot mógłby zdiagnozować wstrząs mózgu i zanim by się obej-

rzała, wylądowałyby w szpitalu. - Dziękuję - powiedziała, wyciągając rękę, by przytrzymać łód, i jej palce dotknęły jego palców. - Co robi Maisie? - spytała, żeby zamaskować konsternację.

- Zajmuje się sobą. Jak to Maisie.

Zrozumiała, co miał na myśli, ale nie podjęła tematu. Mając poczucie winy, powiedziała:

- Do cholery! Co ja zrobiłam z tym telefonem? Jestem pewna, że włożyłam go do kieszeni.

- Może gdzieś wypadł. Znajdziesz go, jak zadzwoni.

- Ale ja potrzebuję go teraz! - Zarumieniła się. Zachowała się jak rozkapryszony bachor. - Przepraszam. Po prostu chciałam wiedzieć, co się dzieje. Nie mogę Maisie wystawić do wiatru.

- Przecież powiedziałaś, że ona chce tu zostać. Myślę, że jest szczęśliwa w Samotnym Szczyście.

- Nie w tym rzecz... - Zadumała się na chwilę. - Ale masz rację. Ona jest tu szczęśliwa.

- Tylko że ty chcesz zrealizować swoje życiowe plany.

- Tego nie powiedziałam. - Zerknęła na niego. - Powiedziałam tak?

- Nie. - Chciał coś dodać, ale zrezygnował i zmienił temat. - Znalazłaś dla niej jakiś odpowiedni strój?

- I tak, i nie.

- Cudowna precyzja wypowiedzi. - Pochylił się, by sprawdzić, czy w jej oczach nie ma łez.

- Znalazłam dla niej jakieś rzeczy, ale Maisie nie lubi ubierać się w bluzy i dzinsy.

- Nie może spędzić całego życia w balowych kreacjach. Musi mieć jakieś zwykłe ubrania.

- Twoja wiara przynosi ci chlubę. Na szczęście znała-

złam to. - Poszperała w kieszeniach spódnicy i wyjęła fotografię. - To jej matka ubrana w te same rzeczy.

Patrzył na zdjęcie przez chwilę, potem zwrócił je bez komentarza.

- Czy to poskutkowało?

- A ty bez szemrania zamieniłbyś różową falbaniastą tafetę na dżinsy ogrodniczki?

- Na szczęście nigdy nie stanąłem przed tak trudnym wyborem.

Czy był to uśmiech? Czy raczej tylko jego odległa zapowiedź?

- W chwili olśnienia zaproponowałam, że zrobię jej takie samo zdjęcie. To ją przekonało.

- Na czym polega problem? Potrzebujesz aparatu? Gdzieś tu jest.

- Dziękuję, mam aparat. Jestem na wakacjach.

- Szczeniaków też nie brakuje w tym domu.

- Wiem, ale chodzi o to, że na tej fotografii jesteś również ty. Maisie chce, żeby to powtórzyć. - By nie odmówił z miejsca, dodała: - Ale nie ma pośpiechu. Rzeczy są w praniu i ze zdjęciem musimy trochę poczekać. A teraz pójde poszukać telefonu.

- Jacqui...

Zrobiła wysiłek, żeby wstać, ale kolana nadal się pod nią ugiwały. Wypowiedział jej imię tak czule, miękko, jakby do siebie, jakby po prostu chciał je usłyszeć.

- Przepraszam.

- Za co? - Tak naprawdę miał za co przepraszać. I to bardzo. - To nie twoja wina, że uderzyłam się w głowę.

- Chodzi mi o twoje wakacje.

Och, to...

- Nigdy już o nich nie wspomnę, jeśli zgodzisz się na fotografię z Maisie.

- Jak tylko zadbasz o słońce. - Słaby uśmiech błąkał się na jego wargach. Harry wcale nie był zły z powodu jej bezczelnej prośby popartej małym szantażem.

Zapewne lepiej znał się na pogodzie panującej w Samotnym Szczycie

Nieważne. Obiecał, a słońce w końcu wyjdzie zza chmur... Na tej starej fotografii pięknie świeciło słońce, nieprawdaż? Zamiast więc odpowiedzieć opryskliwie, uśmiechnęła się promiennie.

- Dziękuję, Harry. A teraz, gdy już doszliśmy do porozumienia, czy mam szansę na aspirynę?

- Tylko wtedy, jeśli położysz się na godzinę i pozwolisz jej zadziałać.

- Wysyłasz mnie do łóżka? - Czuła się tak paskudnie, że musiałby ją zanieść do sypialni, a to na pewno nie poprawiłoby jej stanu. - A co z Maisie? - spytała skonsternowana własnym myślami.

- Susan się nią zajmuje.

- Ona ma inne obowiązki. Kury, sprzątanie...

- Nie martw się.

Liczyła, że Harry zmieni swoje nastawienie i sam zajmie się Maisie, ale za bardzo bolała ją głowa, żeby się tym martwić.

- Zgoda. Ale musisz jeszcze poprosić psy, aby podzieliły się ze mną kanapą.

- Powiniennem jednak wezwać pogotowie, żeby prześwietlono ci głowę. Nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Przepędzić psy z kanapy? Po prostu niewykonalne. - I dodał ze współczuciem: - Chodź. Położysz się w bibliotece.

- W bibliotece? Pozwolisz, bym się rozgościła w ekskluzywnej części domu? Po tych wszystkich wydarzeniach dzisiejszego poranka?

Zamrugwała. Czy naprawdę to powiedziała? Uderzenie w głowę musiało być mocniejsze, niż myślała.

Zacisnęła szczęki. Etyka lekarska zabraniała wrzeszczeć na pacjenta.

- Myślę, że termin „ekskluzywny” to lekka przesada, ale przynajmniej nie zostaniesz pokryta psimi włosami.

Żadna sensowna odpowiedź nie przyszła jej do głowy, więc milczała.

- Możesz chodzić? - Pomógł jej wstać.

- Oczywiście. - Przytrzymała zimny okład na czołe, a pokój wirował jej przed oczami. - Nie jestem inwalidką.

- Nie, tylko walnęłaś się w rozum. Czy kiedykolwiek zamkasz buzię?

- Oczywiście, ja... - Urwała. - To było podstępne pytanie.

Nie odpowiedział. Może chciał pokazać, że przynajmniej jedno z nich potrafi zapanować nad językiem? Nie, zrobił to dlatego, żeby nie wybuchnąć śmiechem! Mogła się założyć, że tak było.

Przeszli przez hol wyłożony boazerią, minęli drzwi prowadzące do sypialni Harry’ego i wreszcie weszli do przytulnej biblioteki. Musiało z niej korzystać wiele pokoleń Talbotów. Półki na ścianach pełne książek, aksamitne zasłony, niegdyś zielone, dziś już nieco zszarzałe, a bogato zdobiony perski dywan wytarty niemalże do osnowy. Obszerna sofa stała przed okazałym kominkiem, w którym leżały grube polana.

Harry podszedł do kominka i kucnął, żeby rozniecić ogień, chociaż w pokoju nie było zimno. Przysiadła na brzegu sofy, obserwując jego zręczne ruchy. Widziała jego plecy... i zapomniała o własnym bólu. Musiał niewyobrażalnie cierpieć... Zamknęła oczy.

- Jacqui? Dobrze się czujesz?
- Tak. - Z wysiłkiem otworzyła oczy.
- Wyglądasz blado. Słabo ci?

Czuła się słabo, ale wbrew pozorom nie był to rezultat uderzenia w głowę.

- Wszystko w porządku. Naprawdę.

Przyglądał jej się przez chwilę z troską. Kiedy ogień rozpałił się na dobre, postawił żelazny parawan i odwrócił się do sofy.

- Mogę to wziąć?

Spojrzała na zawiniątko z lodem, który zaczynał rozpuszczać się na jej kolanach.

- Nie jest już mi potrzebne... Powinnam...
- Co powinnaś?

Szukać telefonu. Złapać Vickie i dowiedzieć się, co się dzieje. Ale przecież, jak zauważył Harry, Maisie była tu szczęśliwa. Na tym powinno jej zależeć.

Czy nie mogła położyć tak, jak jej kazano, i zostawić sprawy ich własnemu biegowi?

- Nic - powiedziała.
- Dobra odpowiedź.

Zmarszczka w kąciu jego ust pogłębiła się. Czyżby naprawdę uśmiech? Raczej wymuszony grymas. Ale i tak przyprawiał o bicie serca.

- Jedyne, co masz zrobić, to leżeć brzuchem do góry. Idę po aspirynę.

Uprzedzając wszelki sprzeciw, uniósł jej stopy, zdjął buty i ułożył nogi na sofie.

Jego dotyk jest taki delikatny i miękki, pomyślała i przy-
mknęła oczy.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Harry wrócił parę minut później z aspiryną i kocem, Jacqui spała. Przyglądał jej się przez moment. Bładość ustąpiła z jej twarzy, wrócił równomierny oddech, ale nadal miała podkrążone oczy, a to nie było wynikiem uderzenia w głowę.

Zauważył ciemne obwódki już poprzedniej nocy pod makijażem, którym usiłowała je pokryć. Jacqui Moore nie spała dobrze. Doskonale to znał.

Bez wątpienia z powodu jakiegoś mężczyzny. Czy dlatego sama wybierała się na wakacje?

Pozostawił tabletki na stoliku obok kanapy i, starając się jej nie obudzić, przykrył ją kocem.

- Jak ona się czuje?

Odwrócił się, gdy Susan weszła z herbatą.

- Zasnęła. Najlepsze, co mogła zrobić.

- Nie powinna być sama. Kiedy mój siostrzeniec spadł z drzewa...

- Dziękuję, Susan. Przypilnuję jej. Zostaw tacę.

- W porządku. Będę na górze w sypialniach, gdyby mnie potrzebowano.

- Zabierz z sobą Maisie. Nie chcę, by przeszkadzała Jacqui.

Susan chrząknęła znacząco. Domyślała się, o co chodzi. Harry Talbot nie chciał, by Maisie jemu przeszkadzała.

- Powinna być w szkole, bawić się z rówieśnikami - oświadczyła.

- Zostaw to kazanie dla Sally.

- Na pewno jej powiem. Zresztą jestem pewna, że panna Jackson, dyrektorka szkoły, chętnie by ją przyjęła jeszcze w tym semestrze.

- Bez wątpienia, ale ona tu nie zostanie. - Zaakcentował ostatnie słowa.

- Skoro pan tak mówi. - Postawiła tacę. - Cóż, nie mogę stać tutaj i plotkować. Jeśli będę potrzebna, wie pan, gdzie mnie szukać.

- Niech się pani rozejrzy za komórką Jacqui. Nie ma jej w gabinecie, musiała więc ją posiać na górze.

- Poszukam.

Gdy odwróciła się, by opuścić bibliotekę, obydwójce zobaczyli Maisie, ukrytą za uchylonymi drzwiami. Obawiała się zaryzykować i podejść bliżej.

- Czy ona nie żyje? - szepnęła. - Zabiłam ją?

- Ty? - zdumiała się Susan. - Co też ci przyszło do głowy?

Harry pomaszerował do drzwi, wyprowadzając dziewczynkę i gosposię na zewnątrz.

- Uderzyła się w głowę o biurko - wyjaśnił. - To nie ma z tobą nic wspólnego - zakończył dyskusję.

- Ale ona szukała...

- Nic jej nie będzie. Potrzebuje trochę spokoju i ciszy. Idź teraz z Susan, proszę.

- Wolałabym iść do szkoły.

Dzięki ci, Susan, pomyślał zgryźliwie.

- Czy mogę? Do wioski? Teraz, proszę!

Była nadzwyczajnie szczebiotliwa. Mógłby przysiąc, że naprawdę się niecierpliwiła.

- Nie sądzę... Choć dlaczego nie - dodał złośliwie - oczywiście jeśli twoja matka spakowała ci coś sensownego do ubrania.

- Nie mów tak! To nie jej wina. Sama się spakowałam. Chciałam być ładna... żebyś mnie polubił!

Nagle, jakby wystraszona własnymi słowami, odwróciła się na pięcie i uciekła.

Susan popatrzyła na niego.

- Proszę pana, pewnie nie powinnam się wtrącać, ale to dziecko potrzebuje trochę stabilizacji, trochę ładu w życiu.

- Masz rację, Susan. Nie powinnaś się wtrącać.

Prychnęła, nie pozostawiając wątpliwości, co sobie o nim myśli, i poszła za Maisie.

Ogar skorzystał z okazji, wślizgnął się do biblioteki i wyciągnął jak długi przed kominkiem.

Harry dorzucił polano do ognia i obrócił się, by sprawdzić, czy Jacqui się nie obudziła. Przewróciła się na bok, policzek przytulała do dłoni, a kosmyk jedwabistych włosów opadał na czoło.

Delikatnie go odsunął z jej twarzy. Wtedy zauważył srebrną bransoletkę na jej nadgarstku. Dokładnie się jej przyjrzał.

Widział tę bransoletkę, jak przesuwiała się na jej ręce, kiedy trzymała kompres z lodem. Ale dopiero teraz dojrzał pojedynczy breloczek - srebrne serduszek. Coś na nim wygrawerowano cienkimi literkami... Nie powinien być wścibski, ale kiedy nieco się odsunął, kątem padania światła uległ zmianie i słowa same rzuciły się w oczy. „Zapomnij i uśmiechnij się”.

Skąd znał ten cytat? Znalazł na półce słownik i po chwili odnalazł tę frazę.

I serce mu drgnęło. Poczuł... coś.

Odrzucił wszelkie emocje na tak długo, że nie potrafił określić, co to było. Tylko tyle, że zabolało. Jeśli nie zdołałby natychmiast się opanować, ból stałby się nie do zniesienia.

Od razu rozpoznał niebezpieczeństwo. Stało się to w chwili, kiedy Jacqui postawiła stopę na progu tego domu i nie pozwoliła się wyrzucić. Próbował, ale w przeciwieństwie do większości ludzi, nie reagowała na jego gburowatość. Właściwie... traktowała go z wyrozumiałością.

Śmieszne, oczywiście. Nie znała go. Nic o nim nie wiedziała.

Jednak znalazła drogę do jego domu, do jego życia i obawiał się, że nie spocznie, póki nie otworzy pancernej zbroi, którą założył, by odgrodzić się od świata.

Od dawna potrafił trzymać ten świat na dystans. Ale nadal nie mógł znieść tego świata, który był w jego sercu, duszy i pamięci.

Wziął książkę z półki i rozsiadł się na fotelu. Czytał i patrzył. Patrzył...

Jacqui poruszyła się. Skrzywiła się, gdy czołem dotknęła oparcia kanapy. Przypomniała sobie. I zaryzykowała, otwierając oczy.

Płonące polana rozświetlały przestrzeń przed kominem. Ogar, który z pewnością nie powinien przebywać w bibliotece, leżał rozkosznie wyciągnięty i smacznie drzemał. Pomacała się delikatnie po głowie. Zabolało, ale guz, mimo pesymistycznych prognoz, wydawał się niewielki. Uznała, że przeżyje. Podniosła się ostrożnie, starając się nie robić zbyt gwałtownych ruchów. Wte-

dy dopiero zauważyła, że nie tylko pies dotrzymywał jej towarzystwa.

Harry Talbot siedział w fotelu z wysokim oparciem po jednej stronie kominka i spał. Na podłodze obok fotela leżała otwarta książka.

Większości ludziom we śnie rysy łagodniały, ale ostre rysy Harryego nie miały w sobie ani trochę łagodności. I właśnie teraz, gdy siebie nie kontrolował, mówiły o nim całą prawdę.

Jacqui doznała olśnienia. Harry Talbot nie walczył ani z nią, ani z Maisie. On walczył z całym światem.

Nie chciała go obudzić. Podwinęła nogi, poprawiła poduszkę i wtuliła się w oparcie sofy.

Gdy pies podniósł łeb z nadzieją, przyłożyła palce do ust i wyszeptwała „leżeć”.

Inteligentny ogar zrozumiał w lot, że gdyby się poruszył, mógłby utracić ciepłe miejsce przed kominkiem. Opuścił łeb na łapy, spojrzał na Harryego i westchnął.

Kolejna dusza w tym domu, pomyślała, która oczekuje dobrego słowa i czułego dotyku od kogoś, kogo podziwia i kocha.

Ta myśl ją zaskoczyła. Dlaczego Maisie miałaby tęsknić za uczuciem Harryego? Czyżby naprawdę nie akceptował tej adopcji? Czy było w niej coś podejrzanego? Zasugerował, że coś wiedział...

Jednak dziwny, nieco agresywny sposób, w jaki Maisie się o nim wyrażała i zachowywała w jego obecności, świadczył o niewypowiedzianej wprost potrzebie, by być zauważoną, zaakceptowaną i kochaną.

- Grosik za twoje myśli.

Podskoczyła. Głos Harryego wyrwał ją z głębokiej zadumy.

- Przepraszam, Jacqui. Nie chciałem cię przestraszyć. Jak twoja głowa?

- W porządku. Trochę jeszcze boli, ale - uśmiechnęła się - nie jest źle. Ty też potrzebowałeś snu.

- Tylko przymknąłem oczy. - Wyraźnie bagatelizując troskę zawartą w jej słowach, wstał i odłożył książkę na półkę.

We śnie maska z jego twarzy opadła, teraz jednak wróciła na swoje miejsce. Ale Jacqui nie można już było oszukać. Harry mógł zachowywać się niegrzecznie, odzywać gburowato, ale ona już wiedziała. Co z tym zrobi, to inna sprawa.

- Napiłabym się herbaty - powiedziała, ostrożnie wstając z sofy. - Czy tobie też zrobić? - Zauważyła tacę z herbatą dla dwóch osób. Wyciągnęła rękę i dotknęła czajniczka. Był zimny jak lód. - Jak długo spałam?

Zerknął na zegarek.

- Ponad dwie godziny. Powiesz mi, jeśli robi ci się niedobrze?

- Myślisz, że zasnęłam, ponieważ doznałam wstrząsu mózgu? Nic tak ekscytującego, zapewniam cię. Byłam po prostu zmęczona. Ostatniej nocy źle spałam, choć łóżko było wygodne. Po prostu niepokoiłam się o Maisie. Czy jest już połączenie?

- Nie wiem, ale sprawdź.

Wskazał stolik przy oknie, gdzie obok laptopa stał telefon.

Podniosła słuchawkę. Znowu nie usłyszała sygnału, ale pies, widząc ruch, podszedł i zaczął węszyć pod biurkiem. Nagle uderzył nosem w coś przy listwie podłogowej. Zerknęła w dół. Ogar trzymał w pysku wtyczkę telefoniczną. Nie była więc włączona do kontaktu.

Zanim zdążyła podzielić się tym odkryciem z Harrym, spojrzała przez okno. Susan i Maisie, ubrana w swoją oryginalną sukienkę z falbanami i kalosze, karmiły marchewką osiołki za kamiennym ogrodzeniem. Wtedy doznała olśnienia. Zrozumiała, co się stało.

Maisie! To była jej sprawka. Po cichu obeszła dom i wyłączyła telefony... Schowała jej komórkę! A wszystko po to, by zyskać na czasie.

Czy aż tak bardzo chciała tu zostać?

- No i co? - spytał Harry.

Podskoczyła nerwowo, a potem zakręciła się na pięcie, by zasłonić to, co zrobiła Maisie.

Na chwilę pokój zawirował jej przed oczami. Wyciągnęła rękę, by nie upaść.

Harry złapał ją za ramiona.

- Jacqui, co się dzieje?

Gdy na niego spojrzała, na jego twarzy malowała się prawdziwa troska i niepokój. Choć nadal miała zamęt w głowie, odzyskała równowagę.

- Kręci ci się w głowie?

Nie... Tak... Nie tak, jak myślał...

- W porządku. Telefon...

Była naprawdę zła na Maisie, ale instykt opiekuńczy wziął górę i postanowiła ją chronić. Tak długo, jak się da. Powiedzenie prawdy tylko pogorszyłoby relacje pomiędzy nim a dziewczynką. Postanowiła, że poczeka, aż Harry odejdzie, po prostu włączy aparat i będzie po sprawie.

- Telefon nadal milczy? - dopytywał się.

- Tak. - Podniosła słuchawkę. - Brak sygnału.

Przypomniała sobie, że na lekcjach religii takie zachowanie nazywano „kłamstwem przez przemilczenie”. Jej

głos przybierał wówczas piskliwy ton, który matka od razu rozpoznawała. Dziś jej podniesiony o kilka oktaw głos wynikał również z faktu, że Harry stał blisko niej i trzymał rękę na jej ramieniu.

Wziął od niej słuchawkę i odłożył ją na widełki.

- Lepiej obejrzę twoją głowę.

Nie czekając na zgodę, rozdzielił jej włosy z wyjątkową, jak na takiego olbrzyma, delikatnością.

- Czy mogę wiedzieć... - Odchyliła się nieco do tyłu, choć bliski kontakt z Harrym był bardzo przyjemny. - Kiedy powiedziałaś, że jesteś doktorem, miałaś na myśli doktora medycyny?

W końcu doczekała się uśmiechu, na jaki od dawna liczyła. Prawdziwego, szczerego uśmiechu. Zmarszczki pod oczami, jakże urocze u mężczyzny, i te wokół ust, były tak niewyobrażalnie seksowne...

- Dobrze pytanie, Jacqui. Świadczy, że twój umysł jest nadal w dobrej kondycji.

- Cieszę się, że to słyszę. Czy masz na nie równie dobrą odpowiedź? A może unikasz jej, ponieważ jesteś na przykład doktorem filozofii? Albo specjalistą od pisma klinicznego? A może badasz życie erotyczne ropuch?

- Uspokój się, Jacqui. Jesteś bezpieczna w moich rękach.

Ale wcale nie czuła się bezpieczna. Być może badał ją fachowo, zgodnie z lekarską sztuką, ale jego delikatne palce wywoływały niebezpieczne dreszcze. A może były to skutki uderzenia w głowę? Ten zamęt, ten brak rozsądku... Wyobrażała sobie przecież, że Harry jest olbrzymem, który mieszka na szczycie góry...

- Medycyna to nasza rodzinna profesja. Mój pradziadek był miejscowym lekarzem.

- Naprawdę? Wioska jest mała, więc pewnie brakowało mu pacjentów.

- Wtedy jeszcze nie było maszyn, ludzie sami uprawiali ziemię, więc było ich tu całkiem sporo. Gabinet został zamknięty, gdy mój kuzyn wyjechał do Bristolu, gdzie otworzył praktykę.

- Dobrze dla niego, gorzej dla miejscowych. Gdzie się leczą?

- Muszą jeździć do miasta.

- Jak daleko?

- Piętnaście kilometrów. Zresztą tak jest prawie wszędzie, na wsiach właściwie nie ma już lekarzy.

- To dosyć uciążliwie, zwłaszcza dla starych ludzi albo gdy ma się chore dziecko.

- Niechby spróbowali żyć tam, gdzie trzeba iść tydzień do... - Urwał.

Gdy zniknął na miesiące i lata... czyżby pracował w Afryce? To było jej pierwsze skojarzenie.

Ale nie naciskała. Przemysli tę informację później.

- Mówiłeś o swoim pradziadku. A czym zajmował się twój dziadek?

- Słucham...? - Zamknął oczy, a na jego twarzy pojawiło się takie zagubienie, że na chwilę się przelekkła.

- Powiedziałeś, że to rodzinna profesja - przypomniała, bojąc się, że Harry zaraz pośle ją diabła.

- Jest kardiologiem, nadal pracuje. Mój ojciec jest onkologiem, a matka pediatrą. Czy chcesz jeszcze coś wiedzieć?

Sprawił wrażenie zaskoczonego, że powiedział aż tak wiele, jakby był nieprzyzwyczajony do mówienia o sobie i swojej rodzinie i nie bardzo wiedział, dlaczego teraz to zrobił.

Jacqui zastanawiała się, gdzie ci wszyscy wykształceni i na pewno bardzo inteligentni ludzie byli, gdy ich tak bardzo potrzebował.

- Są bardzo zajęci - wyjaśnił, jakby czytając jej myśli.

Podobnie jak Selina Talbot, przedkładali karierę nad życie rodzinne. Cóż, przypadłość dziedziczna.

- A ty?

- Sprawdzę twój wzrok. - Ujął jej podbródek, zanim zdołała zaprotestować. Musiała trzymać głowę bez ruchu, a on przesuwiał palcem w jej polu widzenia. Wodziła za nim oczami. Po chwili, nadal trzymając jej twarz w dłoni, odpowiedział: - Jestem lekarzem, który się cieszy, że nie zrobiłaś sobie poważnej krzywdy, i który ci radzi, abyś w przyszłości, gdy będziesz czołgać się pod meblami, bardziej uważała.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Harry.

- Wiem.

Czuła chłodny dotyk jego dłoni na swojej szyi, delikatne palce na policzku. Zalała ją potężna fala pożądania. To zaszokowało ją bardziej niż niedawny uraz głowy. Pragnęła jego dotyku. Ciepła jego ramion, tak silnych, że zdołałyby objąć cały świat...

A najbardziej zdumiewające, że z jego strony wyczuwała równie potężną reakcję.

Mogli tak stać całe wieki w tym magicznym zauroczeniu, gdzieś na szczycie czarodziejskiej, spowitej mgłą góry...

- A więc...? - Otrząsnęła się z czaru. Bajki były dobre dla dzieci.

Puścił ją.

- Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, Jacqui. Już teraz nie wiem, kim jestem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, cofnął się, stwarzając między nimi dystans.

Teraz, gdy z takim trudem się przed nią otworzył, podejrzewała, że czując się całkiem obnażony i bezbronny, z powrotem wycofa się do swojej skorupy.

Oderwał od niej wzrok i zapatrzył się w bezpieczną dał, widoczną za oknem.

Chłód, który teraz poczuła, świadczył, jak blisko byli przed chwilą.

- Mgła się przejaśnia. Być może przed wyjazdem zobaczysz jeszcze słońce.

- Aparat mam w pogotowiu. - Czując uścisk w sercu, odwróciła się, aby podążyć za jego wzrokiem.

Maisie i Susan wracały do domu. Mgła rzeczywiście ustępowała, można było dojrzeć przebłyski niebieskiego nieba.

- Pójdę i pomogę Susan. - A także zapytam Maisie o telefon, dodała w duchu. Vickie i Selina na pewno wrywają sobie włosy z głowy.

Sama również nie zachowała się odpowiedzialnie.

Powinna powiedzieć Harryemu, ale tylko by się zezłościł na dziecko. Kilka minut nie robi różnicy. Gdy pójdzie naprawiać bojler, włączy telefon i wszystko wróci do normy.

Przeszła przez pokój, po drodze chwyciła tacę, a Harry szybko podszedł, aby otworzyć jej drzwi.

- Pora na lunch. - Chciała zaproponować, by do nich dołączył, ale zrezygnowała. Bardzo pragnęła zbliżyć do siebie Maisie i Harryego, jednak zbyt ostentacja nie była wskazana. - Przygotować ci coś?

- Nie powinnaś się męczyć.

- Cały ranek przespałam przed kominkiem, podczas gdy Susan pracowała za nas obie. - Nie! To nie była praca. Nie otrzymywała za nią zapłaty. Robiła to, ponieważ nie miała wyboru. - Jeśli to cię uspokoi, zrobię tylko tosty albo kanapki. Co wolisz?

Gdy spojrział na nią spod zmrużonych powiek, wiedziała, że postąpiła mądrze, nie upierając się, by do nich dołączyć.

- Jeśli robisz kanapki, mogę zjeść jedną. - Wzruszył ramionami. - Najchętniej tutaj.

Pozostawił ją w drzwiach, a sam podszedł do biurka i ostentacyjnie otworzył laptop. Następnie, jakby chcąc zademonstrować, że nie zamierza ruszyć się stąd przez resztę dnia, rozsiadł się wygodnie.

W jednej chwili zniweczył wszystkie jej plany.

Harry skupił uwagę na laptopie, nie patrząc już na Jacqui, która powoli opuściła pokój.

Ale miękkość jej skóry czuł nadal na swoich palcach, a jej słodki zapach wypełniał jego ciało jak powietrze w ciepły, wiosenny dzień.

Lekarz nie powinien mieć takich myśli. Ale przecież co najmniej od pół roku, gdy przywieziono go do tego domu w stanie kompletnego załamania nerwowego, nie myślał już o sobie jako o lekarzu.

Ledwie wierzył własnym uszom, gdy przyznał się Jacqui do swego zawodu. Czyżby chciał, aby dobrze o nim myślała?

Do licha, co go obchodziła jej opinia!

Powinna wyjechać stąd, gdy tylko jej samochód zostanie naprawiony.

Skrzywił się. W obecnych okolicznościach nie mógł na to nalegać, nawet jeśli naprawią tłumik i linię telefoniczną, a Sally zorganizuje opiekę dla Maisie.

Przesunął dłonią po twarzy. Miał kilkudniowy zarost. Nic dziwnego, że gdy otworzył drzwi, Jacqui spojrzała na niego, jakby zobaczyła potwora.

Gwałtownie zamknął laptop.

I co z tego?

To było lepsze od współczucia, które pojawiało się w jej oczach później. Nie chciał jej współczucia. Chciał...

Przyjazd mechanika wyrwał go z zadumy. Ale gdy odsunął krzesło, zadowolony, że uciekł przed własnymi myślami, dostrzegł leżącą na podłodze obok biurka bransoletkę Jacqui.

Gdy pochylił się, aby ją podnieść, zobaczył wtyczkę telefoniczną leżącą obok kontaktu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Harry usłyszał śmiech, który urwał się gwałtownie, gdy wszedł do kuchni.

- Susan, jedno słówko - powiedział tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

- Już kończę. Powinam wyjść pół godziny temu.

- To nie zajmie minuty. Chciałem cię tylko prosić, byś bardziej uważała, kiedy odkurzasz.

- Sprzątam psią sierść najlepiej, jak potrafię - obruszyła się gospoś. - Psy nie powinny wchodzić do biblioteki ani do salonu. Oczywiście gdybym miała nowoczesny odkurzac. ...

- Nie mówię o sierści!

Na Harryego spojrzały trzy pary oczu; jedno zwężone z dezaprobatą, drugie - ciemne i bardzo okrągłe, i trzecie - obramowane lekko uniesionymi brwiami. Zignorował to, koncentrując się na Susan.

- Wiem, że to ciężka praca sprzątać po zwierzakach, ale nie o to chodzi. - Miał wrażenie, że gospoś, mała dziewczynka i jej opiekunka wstrzymały oddechy. - Otóż wygląda na to, że podczas odkurzania wyciągnęłaś wtyczkę od telefonu z gniazdka w bibliotece. Dlatego rano nie mieliśmy połączenia.

- Ja nie... - Susan zmarszczyła brwi.

Kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch, ale kiedy się odwrócił, żeby popatrzeć na Jacqui, zakładała właśnie włosy za ucho.

W jej oczach malowało się pytanie. Nie chciał na nie odpowiadać. Znów spojrzął na gosposię.

- Przepraszam pana - powiedziała łagodnie. - Na przyszłość będę bardziej uważać.

- Nie! - Maisie zerwała się od stołu, wywracając krzesło. - Nie! Nie możesz winić Susan! Ja to zrobiłam. - Jej słowa zabrzmiały jak protest zbuntowanej nastolatki. - Ja to zrobiłam!

Maisie? Specjalnie? Zerknął na Jacqui i uświadomił sobie, że wiedziała. Z jej oczu wycierała prośba o wyrozumiałość.

- Co zrobiłaś, Maisie?

- Wyłączyłam telefon.

- W bibliotece?

- W bibliotece... w gabinecie. ... i w kuchni.

Podszedł do kuchennego gniazdka, które było ukryte za sofą. Wtyczka leżała na podłodze. Włączył ją z powrotem.

Oczywiście doskonale wiedział, dlaczego to zrobiła. Nie chciała, by rozmawiał z Seliną lub ciotką Kate o jej przyszłości. Chciała tutaj zostać. Ale jeśli pozwoli jej powiedzieć to głośno, już nigdy nie zdoła odprawić jej stąd. Nie będzie potrafił.

- Dziękuję za szczerość. To było bardzo odważne z twojej strony. - Spojrzął na Susan. - Przypomnij mi o tym nowoczesnym odkurzaczu, rozejrzę się za nim. - Zwrócił się do Jacqui: - Jesteś zbyt wyrozumiała dla Maisie. - Rozległo się kołatanie do drzwi od strony podwórza. - To mechanik w sprawie twojego samochodu. Czy obiecujesz, że

zadzwońsz do agencji, kiedy będę z nim rozmawiał? - Nie ukrywał, że jest zły na Jacqui. W końcu ona była dorosła. - Muszą bardzo się martwić, nie mając od ciebie żadnych wiadomości. Czy opowieść o zagubionej komórce również jest fikcją?

Nie czekał na odpowiedź. Wcale go nie interesowało, co miała do powiedzenia.

Pomyśleć, że patrzyła na niego tymi szarymi oczami, przytrzymując słuchawkę, żeby mógł posłuchać ciszy, a przecież wiedziała, co zrobiła Maisie!

- Dzień dobry, doktorze Talbot. Samochód już na lawecie - powiedział mechanik.

- Musisz go zabrać do warsztatu, Mike?

- Lepiej go dokładnie obejrzeć. Nie ma nic gorszego, niż robota wykonana w połowie.

- Zgadza się.

- Czy mam go przetrzymać u siebie aż do wyjazdu pańskiego gościa? Ta pani mogłaby rozwalić to cacko, zjeżdżając do wioski.

Harry nie mówił nic o gościu ani o tym, że to kobieta. No cóż, Jacqui musiała pytać o drogę w sklepiku, a to wystarczyło, by wszyscy się dowiedzieli.

- Kiedy będzie gotowy? - spytał niecierpliwie. Kiedy wreszcie zostanie sam?

- Próbowałem zadzwonić wcześniej, ale telefon nie działał. Zgłosiłem uszkodzenie...

- Już działa.

- Problem polega na tym - wyjaśniał Mike - że to stary model i znalezienie części zajmie kilka dni. Zwłoka robi panu różnicę?

- A co to zmieni, jeśli powiem, że tak?

- Mógłbym wypożyczyć samochód.

Harry opierał się pokusie. Nawet jeśli zapewni jej transport, gdzie by się miała udać? A może zasugerować, by zabrała z sobą Maisie do siebie do domu? A jeśli odmówi?

- Jakoś sobie poradzimy. Po prostu napraw go tak szybko, jak możesz. Zapytaj też brata, czy by nie naprawił dziur na drodze dojazdowej. Mam też dla niego inne zajęcia, jak tylko poprawi się pogoda.

- Niech pan nie zwleka. Po Wielkanocy brat zaczyna pracę przy tych nowych domach.

- Jakich domach?

- Pańska ciotka przeforsowała plan budowy osiedla małych, tanich domków przy drodze. To zatrzyma młodych w wiosce i ocali miejscową szkołę. Oznacza też pracę dla nas wszystkich. - Skinął głową w kierunku rezydencji. - Pośle pan do naszej szkoły swoją małą dziewczynkę?

Te mimochodem powiedziane słowa ugodziły go w serce jak nóż.

- Nie, ona tu nie zostaje. Proszę zadzwonić, kiedy wóz będzie gotowy. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł w kierunku zamglonego wzgórza.

Jacqui, odkładając słuchawkę, zobaczyła swój bezcenny samochód załadowany do drogi. Harryego nie było w pobliżu, wysłała więc na dziedziniec, by zorientować się, co się dzieje.

- Dzień dobry. To pani cacko?

Uśmiechnęła się.

- Śliczny, prawda? Gdzie go pan zabiera?

- Do warsztatu. Nazywam się Mike. - Wyciągnął do niej pobrudzoną rękę. - Znajdzie nas pani na dole, za sklepem.

Powiedziałem doktorowi Talbotowi, że kilka dni trzeba poczekać na części. To stary model, rozumie pani. Zaoferowałem doktorowi wypożyczenie samochodu, ale powiedział, żebym sobie tym głowy nie zawracał.

- Naprawdę? - serce Jacqui zabiło gwałtowniej. To oznaczało, że Harry nie zamierza wyrzucić jej za drzwi przy pierwszej lepszej okazji, a tego się spodziewała po spojrzeniu, jakim ją obdarzył, gdy odkrył, że wiedziała o telefonie.

- Jeśli to pani nie pasuje, proszę powiedzieć.

-Ależ nie... jeśli będę chciała zjechać do wioski, na pewno Harry pożyczy mi landrowera. Doskonale rozumiem kłopoty z częściami zamiennymi. Sama je miałam. Naprawdę nie ma pośpiechu.

Z niewiadomego powodu ta odpowiedź go rozśmieszyła.

- Jak pani sobie życzy.

Poczekwała, aż wyjedzie, i zamknęła bramę. Mgła ustępowała, słała się miękko w zagłębieniach wzgórza. Nagle jej oczy uchwyciły ciemną męską postać, która zmierzała szybkim krokiem na szczyt.

Harry miał prawo być wściekły. Powinna była mu powiedzieć o sprawce Maisie. A teraz na dodatek obłudnie zachęciła mechanika, by się nie spieszył z naprawą samochodu.

Jednak to już było bez różnicy, ponieważ Vickie poinformowała ją, że Selina Talbot nadal nie odpowiedziała na wiadomość. Pewnie robiła to celowo. Na pewno wiedziała, że jej matka jest w Nowej Zelandii, i to od pięciu miesięcy. Jediną osobą, której Selina mogła zwalić na głowę swoją córkę, był Harry. Postawiony przed faktem dokonanym, nie miał wyboru.

Kiedy sobie to wszystko poukładała, stało się dla niej jasne, że Vickie Campbell o wszystkim wiedziała.

Najbardziej denerwujące było to, że nikt nie pomyślał o spakowaniu dla Maisie odpowiednich rzeczy na wieś.

- Teraz króliki. Musisz zobaczyć króliki.

Jacqui zwiedzała menażerię. Przywitały się już ze szczeniakami i ich matką, dały Krówce jabłko i wyszczotkowały grzywę, nakarmiły marchewkami osiołki.

Na koniec dotarli do małego wybiegu za stajniami, gdzie znajdowały się zagrody dla królików i drobiu. Kury napawały Jacqui niechęcią o wiele większą niż króliki. Nie lubiła ostrych dziobków, paciorkowatych oczu i sztywnego chodu. Denerwowały ją.

- Spróbuj dać mu marchewkę, Maisie - zachęciła. - Króliki to lubią.

- Woła liście mniszka.

Podskoczyła, usłyszawszy za sobą głos Harryego. Mięka trawa stłumiła jego kroki. Obróciła się i spojrzała mu w twarz. Nie wyglądało na to, by wyczerpujący spacer ostudził jego gniew.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Jacqui?

Nie chciała, by Maisie stała się świadkiem awantury, zostawiła więc dziewczynkę zaferowaną karmieniem królików i podeszła do kamiennego muru na końcu zagrody. Harry podążył za nią. Czekał na wyjaśnienia.

- Dowiedziałam się o telefonie pięć minut przed tobą. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Kiedy się zorientowałam, że to Maisie, chciałam ją ochronić przed twoim gniewem. Zdaję sobie sprawę, że nie cierpisz jej obecności.

- Myślałaś, że będę na nią krzyczał?

- Tak się spodziewałam. - Zerknęła na niego. - Ale nie krzyczałeś.

- Wbrew pozorom, Jacqui, nie jestem ludojadem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego ramienia, chcąc dać mu do zrozumienia, że postąpiła źle. Nie był ludojadem. Był nieszczęśliwym człowiekiem. Czy to nie klasyczny motyw, występujący w bajkach?

- Myślę, że dusisz wszystko w sobie. Może byłoby lepiej, gdybyś nakrzyczał na Maisie... Jestem pewna, że łatwiej zniosłaby awanturę niż twoją oziębłość.

- Poradzę sobie bez terapeuty amatora.

- Mówię ci tylko, jak to widzę. Może następnym razem, zamiast wędrować we mgle, otworzysz usta i krzykniesz. Naprawdę tak lepiej.

Harry zapatrzył się w przestrzeń.

- Nie mogę oczekiwać, że zrozumiesz, jakie to dla mnie trudne...

- Ona jest jeszcze małą dziewczynką, Harry. To, że jest adoptowana i ma inny kolor skóry niż ty, nie czyni jej gorszą. Maisie tak bardzo pragnie, byś ją zaakceptował... - Zamierzała powiedzieć „pokochał”, ale powstrzymała się, by nie posunąć się za daleko.

Harry zmarszczył brwi.

- Inny kolor skóry?

- Powiedziała mi o tym.

- Co...? Hm, doprawdy... Więc co ci powiedziała?

- Kiedy próbowałam jej wytłumaczyć, dlaczego nie może tu zostać, spytała, czy to dlatego, że jest adoptowana. I że kolor jej skóry...

Spojrzała na Maisie, która właśnie śpiewała królikom piosenkę. Wyglądała na tak szczęśliwą, tak odprężoną.

- Co ona powiedziała, Jacqui?!

To było tak strasznie trudne. Naprawdę nie wiedziała, jakich słów użyć. Zamachała nerwowo rękami.

- No wiesz, ona myśli...

- Rozumiem. Nie kocham jej, odrzucam ją, bo jest adoptowana, a do tego ma inny kolor skóry. Czyli, innymi słowy, nie tylko nie należy do rodziny, ale w ogóle jest obca na angielskiej ziemi. Czy tak?

- Czy to jest dla ciebie problem, Harry?

Przez chwilę nic nie odpowiadał, wpatrując się w kamienny mur.

- Tak, to jest dla mnie problem - odparł, unikając jej wzroku.

Co?!

Nie powiedziała tego głośno, ale wyraz jej twarzy był wystarczająco wymowny.

- Kiedy patrzę na nią, czuję...

- Ani słowa więcej! - Zrobiła krok do tyłu. - To straszne, Harry - powiedziała wolno. - Zaczynam ci okropne rzeczy, a ty mi mówisz, że to wszystko prawda?

- Ja...

- Spójrz, Jacqui! - Maisie z radością w oczach przybiegła do nich, ściskając coś w rękach.

- Co tu masz, kochanie? - Jacqui przykucnęła. Zmusiła się do uśmiechu, do normalnego głosu.

Mała otworzyła dłonie, pokazując maleńkiego kurczaczka.

- Ojej! Narobił na mnie!

- Jeszcze tego nam potrzeba - burknął Harry. - Kurczaki na wolności!

- Gdzie go znalazłaś, Maisie? - Jacqui przerwała

Harryfemu, zanim zdążył powiedzieć coś, co naprawdę sprawiłoby dziewczynce przykrość. Próbując nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszała, sięgnęła po chusteczkę, żeby wytrzeć Maisie rękę.

- Za krzakami! Jest ich mnóstwo! Chodź, zobacz! - I już biegła z powrotem w za dużych o dwa numery kaloszach.

- Zaczekaj! Uważaj, żeby ich nie rozdeptać!

Maisie zamarła z jedną nóżką śmiesznie uniesioną w powietrzu. Była szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Jacqui pomyślała, że jej serce otwiera się szeroko dla tego dziecka.

- Będziemy potrzebować kartonowego pudełka. - Odwróciła się do Harryego, który ciągle stał przy kamiennym murze. - Zechcesz go przynieść?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, czego naprawdę chcę.

- Zapewne tak, ale nie denerwuj się, to się już nigdy nie powtórzy.

- Czyżbyś wiedziała coś, o czym ja nie wiem?

- Najpierw kurczaki - odparła Jacqui. - Potem złe wiadomości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jacqui była wdzięczna za przerwę w rozmowie spowodowaną kurczakami, zaraz jednak wstrzymała oddech, gdy Maisie ofiarowała Harry'emu kurczątko.

Dziewczynka wydawała się przy nim taka krucha, a on wyglądał jak prawdziwy olbrzym. Jacqui wiedziała, że mógłby ją łatwo zmiażdżyć niezyczliwym słowem. Ale nie zrobił tego, tylko kucnął i wziął z rąk Maisie kurczaczka.

Mała patrzyła na niego z obawą.

- Na co czekasz? Biegnij i znajdź jeszcze kilka! - polecił.

W zasadzie nie była to pochwała, ale Maisie popędziła, potykając się w za dużych butach, byle tylko przypodobać się Harry'emu.

Wyraz jego twarzy sprawił, że w sercu Jacqui zatliła się nadzieja. Gdy patrzył za małą dziewczynką, która porzuciła wreszcie pozę primadonny i pękała z emocji jak zwykła sześciolatka, na ułamek sekundy prawdziwe uczucia odmalowały się na jego twarzy. Pod maską chłodu i obojętności ukrywał gniew. Ale również rozbawienie. I - przede wszystkim - miłość.

- Ojej, przestań! - Jacqui odtrąciła rozjuszoną kwokę, która w obronie piskłał dziobała ją po kostkach. - Będziemy się opiekować twoimi dziećmi, zgoda?

- Mówiłam ci, żebyś założyła kalosze - powiedziała Maisie mentorskim tonem, jakby upominała dziecko.

Gdy Harry uchwycił wzrok Jacqui, ostrzegła go:

- Tylko nie próbuj się śmiać.
- Nie zamierzam - zapewnił.

Dziesięć minut później, gdy już umieścili ostatniego kurczaka w pudełku, zapytała:

- Gdzie je będziemy trzymać?
- W stajniach.

- Będą potrzebowały jedzenia i wody - ekscytowała się Maisie, zapominając o dystansie i wyuczonym chłodzie.

- Masz rację. Chcesz się tym zająć?

Maisie wyrzuciła ramiona do góry, szczęśliwa, że ma do wykonania ważną robotę dla Harry'ego. Ruszyła pędem przed siebie.

- Dlaczego jesteś taka zadowolona? - Harry przyłapał Jacqui na uśmiešku, którego nie potrafiła ukryć.

- Ja? - spytała niewinnie.
- Przypominasz mi kota z Cheshire.

Z demonstracyjnym uśmiechem odrzekła:

- Mam pogodne usposobienie. Mógłbyś lepiej to wykorzystać - dodała po chwili.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że będziesz tu się jeszcze kręcić przez jakiś czas?

- Tak, to właśnie ta zła wiadomość. Twoja kuzynka nie odpowiedziała na telefon z agencji i dopóki nie wymyślisz czegoś innego, będziesz na nas skazany. - A gdy Harry nawet nie próbował wyrazić swego entuzjazmu dla jej poświęcenia, tylko milczał uparcie, dodała: - Ale niewykluczone, że skontaktuje się z tobą bezpośrednio. Być może właśnie w tej chwili nagrywa się na twoją

sekretarkę. - Wyraz twarzy Harry'ego wciąż pozostawał nieodgadniony. - Albo też, gdy dowie się o całym tym galimatiasie, wsiądzie do pierwszego samolotu i osobiście się tu zjawi.

- Mam nadzieję, że nie zatyka cię ze strachu na samą myśl o tym? - odezwał się w końcu.

- Skądże! Biorę przykład z tych, którzy ją znają i kochają, i oddycham równo i spokojnie.

- Dzielna z ciebie kobieta. Więc zostajesz?

Czyżby ją o to prosił? Naprawdę prosił...?

- Czy możesz zostać? - ponowił pytanie. - Zdałem sobie sprawę, że wszyscy przyjmujemy twoją zgodę za pewnik.

- Nie...

- Nie?

Zebrała się w sobie.

- Nie uznajesz mojej zgody za pewnik. Ten przywilej należy do kogoś innego. Ale tak, oczywiście, że zostanę, jak długo będę potrzebna. - Nagle zauważyła, że znów się uśmiecha.

- Dziękuję. Wykupię ci jakiś wspaniały wakacyjny wyjazd, jak tylko wszystko wróci do normy.

Wzruszyła ramionami.

- Maisie powiedziała, że tu jest dobre miejsce na wakacje, a ja, mimo kurczaków i pogody, rozumiem ją. Poza tym słońce szkodzi skórze.

- Nie zawsze jest taka pogoda. - Otworzył furtkę.

Stanąła w przejściu.

- Czy możemy ustalić kilka spraw, skoro już tu jesteś?
- zapytała.

- A czy coś cię przed tym powstrzyma?

Puściła tę niezbyt grzeczną uwagę mimo uszu. Nawet uśmiechnęła się, jakby powiedział coś zabawnego.

- Skoro będę tu przez jakiś czas, chciałabym, żebyś mnie w porę informował, że nie będziesz na lunchu.

- Sądziłem, że jesteś nianią Maisie, nie moją.

- Czyżby? - Nie była niczyją nianią, ale nie zamierzała mówić o tym Harryemu. - Poza tym potrzebuję listy najbliższych krewnych, najważniejszych telefonów, kluczy do domu i do samochodu...

- Coś jeszcze?

- Tak. Nie było cię na lunchu. Znajdziesz trochę kanapek w lodówce.

Odwróciła się i odeszła.

- Jacqui! - Zatrzymała się, czekając na wybuch. Kiedy nie nastąpił, obejrzała się. - Jak twoja głowa?

- Dobra robota, doktorku - stwierdziła z uśmiechem. - Polecę cię wszystkim znajomym.

Trochę jej było głupio, że znowu upodobniła się do kota z Cheshire.

Jej uśmiech zbił Harryego z tropu. Poczł się jeszcze bardziej niepewnie, gdy namacał w kieszeni bransoletkę. Chciał ją oddać zaraz po tym, jak ją znalazł, ale przez zamieszanie z telefonem zupełnie wyleciało mu to z głowy. Potem wybrał się na szczyt. Zwykle im wyżej się wspinał, tym skuteczniej oddalał się od wspomnień. Dziś było inaczej, czuł, że ciągnie go z powrotem. I to nie do Maisie, a do Jacqui.

Teraz trzymał ręce w kieszeniach, żeby się do niej nie wrywały. Poczł bransoletkę i chciał ją zwrócić. To dlatego ją zawołał.

Jego palce bawiły się łańcuszkiem, kciuk pocierał o deli-

katne serduszko. Wyjął bransoletkę i przyjrzał jej się. „Zapomnij i uśmiechnij się”.

Kogo miała zapomnieć? Chciał ją zapytać, czy to jej się udało. A jeśli tak, to w jak sposób? Ale może to było dla niej tak samo trudne jak dla niego...

Schował bransoletkę do kieszeni. Nie odda jej, tylko gdzieś podrzuci, tak by Jacqui ją znalazła.

Harry po raz kolejny spróbował dodzwonić się do Seliny. Wprawdzie Jacqui zadeklarowała się, że zostanie, ale nie mógł bez końca wykorzystywać jej dobrego charakteru.

Kiedy przyłożył słuchawkę do ucha, zamarzyło mu się, żeby telefon znowu ogłuchł. Niestety, dodzwonił się za pierwszym razem.

- Harry? Czy masz pojęcie, która tutaj jest godzina?
Doskonale wiedział.

- Druga, trzecia nad ranem. Spałaś?

- Oczywiście, że spałam!

Nie dzwonił w środku nocy po to, by ją zirytować. Wiedział, że jeśli będzie zupełnie przytomna, może zignorować jego telefon.

- Dzwonię w sprawie Maisie.

-Och!

- Agencja i jej opiekunka uważają, że ona chce na stałe zostać z ciotką Kate.

- Naprawdę? Dlaczego? Poprosiłam, by zawieziono ją do domu babki. To wszystko.

- Nie rozumiesz, Sally. To są odpowiedzialni ludzie, którzy poważnie traktują swoje obowiązki. Nie chcieli zostawić jej z kimś... przypadkowym.

- Ty nie jesteś przypadkową osobą, prawda?

- Odpowiadasz za nią, Sally. To mała dziewczynka, a nie kolejny okaz z twojej menażerii. Powinnaś przesłać do agencji faks z upoważnieniem, że Maisie może zostać ze mną.

- W porządku. Załatwione. Jeśli tylko o to chodzi, to idę spać, bo jutro nie ukryję worów pod oczami. Chyba nie jest chora czy coś takiego...?

- A jeśli jest? Rzucisz wszystko i przylecisz?

- Nie bądź głupi, kochanie, przecież Maisie mnie nie potrzebuje. Nigdy nie potrzebowała. Czy zdajesz sobie sprawę, jak mnie to przygnębia?

Harry miałby wiele na ten temat do powiedzenia, ale nie zamierzał się wysilać.

- Kiedy będziesz w domu?

- Na pewno nie w tym miesiącu. Stąd lecę do Japonii, a potem do Stanów, by nagrać kilka reklam. A potem zamierzam spędzić trochę czasu na jachcie przyjaciela. Och, tak bardzo potrzebuję wakacji...

- A co z Maisie? Mogłaby do ciebie dołączyć?

- Maisie? Co ona, u diabła, miałaby robić na jachcie?

Harry nie zapytał, co Sally będzie tam robić. Jej romans z miliarderem był gorącym tematem plotek.

- Miesiąc - powiedział Harry. - W porządku.

- No, może troszkę dłużej. To zależy, kiedy dekoratorzy ukończą dom.

- Dekoratorzy?

- Planujemy sesję zdjęciową w mojej rezydencji, więc dekoratorzy ścigają się z robotą. Mieli skończyć do Wielkanocy, ale sam wiesz, jak to nieraz się przeciąga...

- Wiem. - Wreszcie zrozumiał, dlaczego Maisie nie może zostać w domu razem z Sally. - Czy chcesz z nią porozmawiać?

- Jestem naprawdę zmęczona, Harry.
- A z Jacqui?
- Z kim?
- Z nianią, która przywiozła tu Maisie.
- Och, czy... czy ona nie powinna być na wakacjach?
- Tak, powinna. Zrezygnowała ze swoich planów z powodu twojego braku odpowiedzialności. Poświęciła wakacje, żeby zostać i opiekować się Maisie.

- Do diabła, Harry, dlaczego jej na to pozwoliłeś? Doskonale dałbyś sobie radę z jednym małym dzieckiem! Prawda?

- Na nic jej nie pozwalałem. Sama się uparła. - Zignorowałam drugą część pytania, ponieważ obydwójce znali na nie odpowiedź.

- Vickie Campbell mówiła, że ta kobieta to prawdziwy skarb. Miała nadzieję, że ją przekona, by wzięła tę pracę na stałe.

- Też mam taką nadzieję. Dla dobra Maisie.

To, że Jacqui opiekowała się dzieckiem, było jedynym jasnym punktem całej tej sytuacji. Harry zastanawiał się, czy nie zadzwonić do ciotki. Po namyśle doszedł do wniosku, że byłoby nie fair zepsuć jej pierwsze prawdziwe wakacje. Wiedział, że Kate przyleci z powrotem, jeśli ją o to poprosi. Nie chciał postępować jak jej córka, dla której była po prostu bezpłatną służącą.

A zresztą, czy musi ją wzywać? Jacqui zostaje, Maisie jest szczęśliwa.

Zapragnął gorącej kąpieli. Dokuczliwe bóle pojawiały się jak zwykle podczas wilgotnej pogody. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, Jacqui odgrzeje mu resztki z kolacji. Ostatnio bardzo przejmowała się jego dietą.

Harry nadal uśmiechał się do swoich myśli, gdy jego uwagę przykuły chichoty i okrzyki dobiegające z górnego piętra. Brzmiały tak radośnie, tak normalnie...

- Raz, dwa, trzy... - Strugi wody pryskały pomiędzy palcami Maisie, która zanosiła się śmiechem. Jacqui chwyciła ręcznik, by zaradzić powodzi. Kiedy rzuciła go na podłogę, zauważyła parę dużych stóp odzianych w przemoczzone skarpetki.

- Masz zamiar nas zatopić?

- To nie przecieknie przez sufit, prawda?

- No, nie... Nie chcę przerywać wam zabawy. Chciałem tylko ci to zwrócić. - Wyjął z kieszeni bransoletkę. - Znalazłem ją w bibliotece. Pomyślałem, że możesz jej szukać.

Jacqui zdumiona spojrzała na swój nadgarstek.

- Zauważyłem, że ją nosiłaś.

- Naprawdę? Tak... Dziękuję.

- Interesujący napis.

- Udało ci się przeczytać? Ja potrzebuję lupy.

- Mam dobry wzrok.

Nagle Maisie poprosiła teatralnym szeptem:

- Zapytaj go!

- O co? - Harry spojrzał na małą.

Dziewczynka natychmiast straciła rezon i zaczęła się bawić plastikową kaczuszką.

- O to, co powiedziała Susan.

Harry klęknął przy wannie, nie zważając na wodę, która moczyła mu spodnie. Chwycił kaczuszkę i zmusił Maisie, by na niego spojrzała.

- Susan mówiła dziś o wielu sprawach.

Dziewczynka mruknęła coś pod nosem.

- Tak, Maisie?
- Susan mówiła o szkole w wiosce. Że mogłabym do niej chodzić.
- Naprawdę chcesz?
- Tak...
- Ale w co byś się ubierała? Nie można chodzić do szkoły w balowych sukniach.
- Dlaczego?
- Ponieważ - szybko wtrąciła się Jacqui - innym dziewczynom mogłoby być przykro, że nie mają takich pięknych strojów.
- Aha, rozumiem. Ale są przecież te stare ubrania, które znalazłaś - poprosiła drżącym głosem, kierując swój apel bezpośrednio do Harryego. - Proszę!
- Jacqui zdała sobie sprawę, że Maisie nigdy nie używała imienia Harryego. I nigdy nie nazywała go wujkiem.
- Co o tym sądzisz? - Spojrzał na Jacqui.
- Starła się zignorować słabą nadzieję, która wstąpiła w jej serce. To był z jego strony dowód prawdziwego zaufania. Choć prawdziwy powód tego pytania mógł być bardziej prozaiczny. Pozostawiając decyzję w jej rękach, zrzucił z siebie odpowiedzialność za ewentualną porażkę całego eksperymentu.
- Jeśli dyrekcja zgodzi się przyjąć ją w tym semestrze... Byłoby dobrze, gdyby Maisie poznała rówieśników. Jest tylko jeden problem. Zauważyłam, jadąc przez wioskę, że wszystkie dzieci noszą mundurki. Szare spódniczki, białe koszulki i czerwone sweterki w serek. No i praktyczne buty - dodała, wiedząc, że wszystko musi być powiedziane do końca, żeby uniknąć nieporozumień.
- Czarne?

- Albo brązowe.

- Czarne lub brązowe buty? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - I mundurek? To wszystko zmienia. Maisie nie będzie chciała nosić czegoś takiego. - Podniósł się z klęczek, przekonany, że sprawa szkoły została przesądzona.

Mała zerwała się gwałtownie, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

- Chcę! Chcę mieć mundurek! Najlepiej szary.

- Jesteś zupełnie pewna? - spytał Harry. - Nie ma sensu, by Jacqui jechała z tobą do miasta na szkolne zakupy, jeśli potem zmienisz zdanie.

- Na pewno nie zmienię, na pewno! Przyrzekam! - zapewniła żarliwie.

Wyglądało na to, że dzięki Harry'emu Maisie zapragnęła mieć ubrania, których jeszcze niedawno nie włożyłaby za nic na świecie.

- W porządku, w takim razie dzwonię do szkoły. Zastanów się jeszcze raz, czy naprawdę tego chcesz, bo potem nie będzie odwrotu.

- Chcę! Chcę! Chcę!

Harry spojrzał ciepło na małą dziewczynkę, a jego uśmiech wydał się Jacqui tak czuły i tak ujmujący, że położyła dłoń na jego ramieniu, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Miała wrażenie, że czas stanął. To były sekundy czystej magii. Zobaczyła, jak opada skorupa, którą Harry odgrodził się od świata.

Jednak jego uśmiech zamarł, a twarz znów nabrała nieodgadnionego wyrazu.

Nagle zadrżała, bo w głębi duszy poczuła dojmujący

ból. To było tak wstrząsające uczucie, że straciła równowagę, ale Harry podtrzymał ją mocnym ramieniem i wyszeptał miękko, ledwie słyszalnie:

- Dużo ryzykujesz, Jacqui.
- Wszystko, co wartościowe, tego wymaga.
- Wiem - odparł Harry. - Ale ten, kto ryzykuje, bierze na siebie wszystkie konsekwencje swoich działań.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Harry wiedział, że igrza z ogniem. Jego wysiłki, by zachować dystans, nie zniechęciły Jacqui. Cały czas starała się dotrzeć do niego - i wreszcie go dosięgła. Nie tylko fizycznie. Wtargnęła w ciemną otchłań, w której nikt nie był od pięciu lat.

Nawet on sam.

Z każdą wspólnie spędzoną chwilą Jacqui zbliżała się do niego, niszcząc tarczę, którą odgrodził się od świata. Intrygowała go, było w niej coś magicznego.

Dlaczego się go nie bała?

Większość ludzi doskonale rozumiała wysyłany przez niego ostrzegawczy sygnał „trzymaj się z daleka”, lecz Jacqui uparła się obejmować i jedyne, o czym potrafił myśleć, to o następnym pocałunku.

O prawdziwym pocałunku.

Jacqui zniszczyła cały wysiłek, który włożył w ułożenie swojego życia, zburzyła spokój jego umysłu. Natychmiast powinien to przerwać, ale ciepło i dobroć, które z niej emanowały, przywodziły mu na myśl żar paleniska w mroźną, zimową noc.

Kiedy tak trzymał ją w ramionach, rozdarty między rozsądkiem a sercem, Jacqui przymknęła oczy i leciutko wes-

tchnęła. Pojął, że nie ma takiej siły, która zdołałaby go uratować.

Poczuła dotyk ust Harryego na swoich wargach. Delikatny pocałunek uświadomił jej, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Ale było za późno. To muśnięcie miało czarodziejską moc. Obudziło jej ciało, wyrwało je z letargu. Jej serce biło jak szalone. Ta lekkomyślność była zabójcza!

- Jeśli macie zamiar robić takie głupie rzeczy jak całowanie się....

Jacqui oprzytomniała pierwsza. Chwyciła ręcznik, otuliła nim Maisie i zaczęła ją wycierać.

- Tylko straciłam równowagę i wujek Harry mnie przytrzymał.

Maisie posłała jej wymowne spojrzenie, po czym przeniosła obojętnie wzrok na Harryego i powiedziała:

- To nie jest mój wujek. To mój tata.

Harry zamarł. Co, do diabła, Sally jej nagadała, jeszcze bardziej pogarszając sprawę?

Poczucie winy ugodziło go jak straszliwy cios. Oddał tę dziewczynkę komuś, kto traktował ją tylko nieco lepiej niż przedmiot. Ustąpił bez walki, zrzekając się praw do miłości i szacunku.

Musi szybko coś powiedzieć, bo szare oczy Jacqui zadają mu oczywiste pytanie i domagają się prawdy.

- Jacqui... - Tyle zdołał wykrztusić.

Najpierw zdumiona, teraz zyskała gorzką pewność. Widać to było po jej twarzy.

- Wybacz mi, Harry. Jest późno, muszę położyć Maisie do łóżka, jeśli mamy jutro pojechać na zakupy. - Wzięła małą na ręce i wyszła z łazienki.

Kilka minut wcześniej lamentował, że ta kobieta prze-

łamała obronny mur, którym odgrodził się od wszystkich emocji. Rozebrała go cegła po cegle, lecz teraz, w tak dramatycznej chwili, wycofała się. Miał wrażenie, jakby w jednej sekundzie zgasło słońce.

Przez moment chciał biec za nią i Maisie, żądać, by go wysłuchały i sprawiedliwie osądziły. Czy to jednak cokolwiek zmieni? Zrobił, co zrobił i nie ma sposobu, by to zmienić.

Może tak będzie lepiej. Weźmie kąpiel, potem zaszyje się w pokoju. Odgrodzi się od nie swoich spraw, wróci do normalności. Do świata bez Maisie i bez Jacqui.

Nagle doszedł go z sypialni pełen rozpaczy głos Maisie:

- Przepraszam, przepraszam... Nie powinnam tego mówić. Ale on mnie nie wyrzuci, prawda? Przecież muszę iść do szkoły...

Pchnął drzwi. Na widok Maisie w jej królewskim łóżu poczuł, że ściska mu się serce.

Czekały, by przemówił.

- Wpadnij do mnie przed jutrzejszymi zakupami - powiedział przez ściśnięte gardło. - Będziesz potrzebowała pieniędzy.

Wiedział, że Jacqui patrzy na niego. Wiedział, że szuka klucza do tej zagadki. Miał nadzieję, że da mu Znać, kiedy go znajdzie.

Na razie błądził w ciemności, wyglądając światła, które wskazałoby mu drogę.

- Czułabym się pewniej, gdybyś się z nami wybrał. Gubię się w obcym terenie.

Oto światełko w ciemnościach...

- Oczywiście. Czy wiesz, co trzeba kupić?

- Zrobię listę.

- To dobrze. - Ruszył do drzwi.
- Harry...
- Tak?
- Zostawiłam dla ciebie kolację w lodówce. Światło rozświetliło jaśniej.

Miała wrażenie, że minęły godziny, zanim go znalazła. Weszła z tacą do biblioteki.

- Zrobiłam kawę.
- Nie musiałaś.
- Ale zrobiłam.

Rozlała kawę do filiżanek i podała mu małą czarną bez cukru. Przyciągnęła fotel bliżej kominka i usiadła. Była jak jedno wielkie oczekiwanie.

Nie mógł demonstracyjnie milczeć, nie mógł jej wyprosić z pokoju.

Już nie.

- Jesteś pewnie zdziwiona....
- Jestem. Ale myślę, Harry, że zanim zaczniesz, powinienam ci powiedzieć o rozmowie, jaką odbyłam z Maisie o rozłączonych telefonach, mówieniu prawdy itp. Przyznała się, że schowała moją komórkę, a także zamieniła swój bagaż. Opróżniła torbę z praktycznych rzeczy, które spakowała jej matka, i zastąpiła je najpiękniejszymi sukienkami. Bo Maisie jednego tylko pragnie: żebyś ją zauważył.

- Możesz jej powiedzieć, że odniosła sukces. - Uśmiechnął się mimo woli.
- Uwierz, będzie lepiej, jak sam jej to powiesz.
- Tak też zrobię.
- A teraz posłuchaj mnie uważnie. Maisie bardzo przeżywa to wszystko, co się tutaj dzieje. Stara się, walczy o cie-

bie, miotają nią sprzeczne uczucia, od nadziei do skrajnego zważnienia. A to, co się stało w łazience, po prostu ją załamało. - Jacqui wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę papieru. - Zdradziła swój największy sekret i boi się, że ją za to ostatecznie znieńawidzisz. Szukała więc ratunku u mnie i dlatego pokazała mi swoją metrykę.

- Metrykę?! Skąd, u diabła, ją wzięła? Taki dokument powinien być dobrze schowany!

- Powiedziała, że znalazła ją, bo leżała na wierzchu, choć podejrzewam, że dokładnie przeszukała cały dom albo wykorzystała moment, kiedy akurat był otwarty sejf, a jej matka na chwilę gdzieś poszła. - Uśmiechnęła się, a on wstrzymał oddech. - Nie wiem jak ty, ale ja jestem przekonana, że Maisie, jeśli czegoś pragnie, potrafi o to walczyć, a że jest bardzo inteligentna i bystra...

- Tak, ma do tego talent. - Harry znów się uśmiechnął.

- Szukała tej metryki, bo chciała się dowiedzieć, kim jest.

Uśmiech Harry'ego zgasł.

- Ona to wie.

- Tak sądzisz? Ma zaledwie sześć lat, ale już od roku dręczy ją zagadka jej pochodzenia. Teraz wie już co nieco, ale z uwagi na całą tę rodzinną sytuację jest kompletnie zdezorientowana. Gdybyś był w jej sytuacji, też chciałbyś zadać mnóstwo pytań.

- Powinna zapytać Sally. - Jednak Harry wiedział, że nie miałoby to sensu, bo jego kuzynka buja w obłokach. - Metryka niczego jej nie powie.

- Czyżby? - Jacqui otworzyła dokument. - Otóż ten kawałek papieru mówi wystarczająco dużo. To nie jest zaświadczenie o adopcji, ale metryka urodzenia wystawiona

przez konsulat w Digali, małym saharyjskim kraju, targanym od lat przez wojnę domową. - Spojrzała na niego. - Pracowałeś tam?

- Tak, jako lekarz międzynarodowej organizacji charytatywnej.

- Naprawdę? Jakże ci tego zazdrościć...

- Powinnaś dokończyć studia, jeśli chciałaś zostać pielęgniarką.

- Czasami los zmienia nasze plany. Po prostu staje na przeszkodzie.

Harry spostrzegł, że Jacqui odpływa myślami gdzieś daleko i chociaż się uśmiechała, był to najsmutniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądał. Poczucie straty, głęboki żal.

Mur, którym odgrodził swe serce i który z taką determinacją Jacqui rozbierała, runął ostatecznie.

- Opowiesz mi o tym?

Musiał wiedzieć, dlaczego jest taka smutna, zanim zacznie się zastanawiać, jak temu zaradzić.

Spojrzała na niego.

-Może... Później.

- Obiecujesz? - Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. W końcu kiwnęła głową. Harry wiedział, że nie była to dla Jacqui łatwa decyzja. Postanowiła jednak mu zaufać.

Była pełna powagi. I nagle coś błysnęło w jej oczach.

- To dwustronny układ, Harry. Zdradzę ci swoje sekrety, jeśli zdradzisz swoje.

- Moje sekrety są w twoich rękach, w tym dokumencie.

- Chciałabym wiedzieć coś więcej ponad to, że Harry Talbot jest kłamcą.

Słowa były surowe, ale jej głos już nie. Ani oczy.

Milczał.

- W porządku - podjęła. - Zerknijmy na to. -I przeczytała: - Ojciec: Henry Charles Talbot. Zawód: chirurg. Matka: Rose Ngei. Zawód: brak. Imię dziecka: Margaret Rose. Miejsce urodzenia... - Rozłożyła ręce i spytała: - Harry, jak to zrobiłeś? I dlaczego?

- Nie mogłem pozwolić, by Maisie stała się następną ofiarą wojny.

- Tam były... są dziesiątki dzieci. Setki...

- Tysiące - powiedział. - Niewinni zawsze cierpią najbardziej.

- Dlaczego więc ona?

Miał ochotę wstać, wyjść z pokoju, zagubić się na wzgórzu. Tak robił od lat. Uciekał od koszmarnych wspomnień. Gdzieś gnał przed siebie lub spalał się w pracy. Lecz nie zbliżyło go to ani na jotę od rozwiązania problemu.

Za długo dusił to w sobie, by od razu znaleźć właściwe słowa. Zamiast mówić, uklęknął przy kominku, dorzucił kilka szczap i patrzył, jak obejmuje je płomień. Przedłużał tę chwilę w nieskończoność.

Nie ponaglała go. W absolutnej ciszy czekała, aż uporządkuje myśli.

- Jej matka razem z innymi uciekła przed frontem. Nie wiem, z jakiej wioski pochodziła, nie znałem jej imienia. Wymyśliłem je... - Gdy umilkł, Jacqui delikatnie pogłaskała go po ramieniu. - Weszła na pole minowe, więc przywieźli ją do frontowego szpitala. Konała. Jedyne, co mogłem zrobić, to uratować Maisie za pomocą cesarskiego cięcia.

Jacqui zakryła usta rękami. Nie musiał niczego więcej tłumaczyć, by pojęła koszmarną tamtej sytuacji.

- Maisie była mała, słabiotka, ale kiedy opuściła straszliwie zmasakrowaną matkę, kiedy znalazła się na świetle, wydała okrzyk... triumfu. Jakby chciała powiedzieć: „Udało się! Żyje!”. I złapała mnie za palec tak mocno, jakby go już nigdy nie miała puścić. W tym okropnym miejscu to był cud, Jacqui.

- Tak, prawdziwy cud. Uratowałeś ją.

- Jednak bez matki nie przeżyłaby ani jednego dnia w obozie dla uchodźców.

- Jednak przeżyła.

- Obiecałem jej, że nie będzie kolejną ofiarą tej bezsensownej wojny.

- Jak to zrobiłeś?

- Trzymałem ją stale przy sobie. Spała ze mną, podróżowała. Karmiłem ją, pielęgnowałem. Czasami podczas operacji wisiała w nosidełku na moich plecach.

Harry zadrżał na myśl o tym, jak blisko dopuścił do siebie Jacqui. Przyklęka nagle i tuliła jego dłonie. Ramieniem oplótła jego szyję...

- Powiedz mi, co ci się stało...

Bijące od niej ciepło, jej zapach przenikały go do głębi, budziły uczucia, które już dawno uznał za pogrzebane, zamknął w krypcie niepamięci. To było wręcz bolesne, ale tak jak bolą gojące się rany.

- Każdą chwilę wciąż mam przed oczami... - Żar późnego popołudnia. Kurz. Muchy. Ciepło Maisie w tobołku na plecach... - Kończyliśmy pracę i właśnie wracałem do swojej kwatery. Maisie obudziła się i zaczęła popłakiwać. Zatrzymałem się, wyciągnąłem ją z nosidełka i niosłem w ramionach. Ostatnia rzecz, którą zapamiętałem, to jej maleńka twarzączka rozświetlona w uśmiechu. - Potrzeb-

nał głową. - I nagle świat eksplodował. Za nami upadł pocisk. Wybuch rzucił mnie na ziemię.

- A co z Maisie? Została ranna?

- Kiedy bombardowanie się skończyło, znaleźli mnie w schronie. Leżałem, osłaniając Maisie. Musiałem się tam doczołgać, ale niczego nie pamiętam.

- Uratowałeś ją po raz drugi.

- Minutę wcześniej...

- Ciii...- wyszeptła. - Uratowałeś ją. Lecz sam zostałeś ranny. Twoje plecy...

- Zapomnij. Nie zobaczysz już tego.

- Nie! Chcę widzieć. Właśnie teraz. - Zaczęła rozpinąć mu koszulę. Złapała ją za rękę. Spojrzała na niego z niemą prośbą, pocałowała czule.

Stał przed nią zupełnie bezbronny, a ona zdjęła z niego koszulę, która zsunęła się na podłogę.

Najpierw delikatnie opuszkami palców obrysowała ramiona Harry'ego. Jej dłonie zeszywniały, gdy natknęły się na bliznę. Objęła go ramionami, wędrując dłońmi po każdym kawałeczku straszliwie okaleczonego ciała.

- To boli?

Boli? Kiedy przytuliła policzek do jego piersi, a jej włosy łaskotały go w twarz, nie był w stanie odczuwać czegokolwiek poza bólem pożądania.

- Tak, lecz gdy je dotykasz...

Włożył z powrotem koszulę, lecz przestał zapinać guziki, gdy zobaczył zmarszczki na czole Jacqui.

- Nie marszcz się. Wszystko w porządku.

- Naprawdę? Dlaczego więc Maisie jest z twoją kuzynką? I dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

- Nieszczęśliwy? - Usiadł w fotelu, by zwiększyć pomię-

dzy nimi dystans. Łyknął kawy. Potrzebował czasu na zastanowienie.

- Chyba nie zaprzeczysz?

- Nie, nie zaprzeczę, ale sama powiedziałaś, że los czasami staje na przeszkodzie. Moje obrażenia były zbyt rozległe, żeby wyleczyć je na miejscu. Odmówiłem powrotu do kraju bez Maisie. Ona nie miała papierów, ja nie miałem do niej żadnych praw. Potrzebowałem następnego cudu.

- I się zdarzył.

- Kiedy transport stał się sprawą życia lub śmierci, szef służb medycznych wezwał konsula, by przemówił mi do rozsądku. Jednak konsul, sztywny i wszystko wiedzący urzędnik, przerwał moje wyjaśnienia i powiedział, że muszę uregulować formalne sprawy. „Przecież to pana córka, więc jest poddaną królowej. Powinien pan wcześniej o tym pomyśleć”, napomniął mnie surowo. Zrozumiałem, jak wielką szansę stwarza to nieporozumienie. Konsul przywoził odpowiedni druk. Wpisał moje imię i nazwisko w rubryce „ojciec”, zapytał, jak się nazywała zmarła matka. Błyskawicznie wymyśliłem jej personalia, a imię mojej matki dałem Maisie, która w ten sposób została Angielką. Gdy metryka była gotowa, konsul wręczył mi ją i pogratulował córeczki. - Harry napotkał wzrok Jacqui. - Ona jest moja. Musiałem skłamać konsulowi czy też nie wyprowadzić go z błędu, by ją zatrzymać. - Sięgnął po słowa, których nigdy dotąd głośno nie wypowiedział. - Kochałem ją, Jacqui. Kocham ją. Nie mogłem oddać jej na zatracenie. Musiałem to zrobić.

- Oczywiście, że musiałeś. I przywoziłeś ją do Samotnego Szczytu.

- Miałem taki zamiar, ale okazało się, że mnóstwo cza-

su muszę spędzić w szpitalu. Przeszczyły skóry i takie rzeczy. Sally przełamała się, wzięła Maisie, zaangażowała nianię. Miała dużo radości, przebierając śliczną dziewczynkę w śliczne sukienki.

- Jak lalkę. Ale to był mały człowiek.

- Dowiedziała się o tym prasa, paparazzi zrobili zdjęcia i plotkarskie gazety miały o czym pisać.

- Selina oświadczyła więc publicznie, że adoptowała sierotę wojenną?

- Moje kłamstwo mogło wyjść na jaw. Zrobiła to, by chronić mnie i Maisie. Wielkie gwiazdy czasami tak postępują, dla kaprysu, dla image'u...

- Musisz jej nienawidzić.

- Nie, w jakiś sposób nawet ją lubię, ale przy tym świetnie ją znam. Dlatego mnie unika.

- A Maisie?

- Miała już swoje życie, kiedy doszedłem do takiej formy, by móc się nią zająć. Poza tym nie mogłem zabierać dziecka do krajów, gdzie toczą się wojny.

- Dlaczego nie zostałeś z nią w domu?

- Oczywiście to byłoby możliwe, ale wypadłem z jej życia na tak długo, że o mnie zapomniała. Traktowała mnie jak obcego.

- Nie zapomniała cię, Harry. Sądziła, że ją opuściłeś, i karała cię za to chłodem i nieprzystęnością.

Uśmiechnął się.

- Znowu ta domorośla psychologia, Jacqui?

- Myślisz, że cię zapomniała? To dlaczego powiedziała mi, że kiedy dorośnie, to zostanie lekarzem?

Harryemu mocniej zabiło serce.

- Kiedy to powiedziała?

- Jak jechałyśmy do Samotnego Szczytu. Spytałam ją, czy zamierza zostać modelką, jak jej matka... - Przymknęła oczy w namyśle. - Harry, ona już wtedy wiedziała, że jej babki tu nie ma. Jestem o tym przekonana.

- Mogła dowiedzieć się od Sally.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak, niedawno. Sally powiedziała coś dziwnego. Uważa, że nie zostaniesz z nami.

- Naprawdę? - Jacqui uśmiechnęła się. - Nie rozumiesz? To taki wybieg. Ona popycha cię ku Maisie, chce, żebyście odbudowali więzi, które kiedyś was łączyły. Więc jednak twoja kuzynka wcale nie jest taka nieczuła i zapatrzona tylko w siebie.

- Raczej znudziło jej się udawanie troskliwej matki, ma dość tych wszystkich obowiązków, a cały swój czas chce poświęcić swemu miliarderowi.

- Sama nie wiem, ale ty znasz ją lepiej. Jest aż tak płytka? - Kiedy Harry nie odpowiadał, dodała: - Myślę, że Maisie chce zostać z tobą. Przypuszczam, że Sally też o tym wie. - Jacqui przykryła dłońmi jego dłonie. - A może twoja piękna kuzynka, przy całej swej ekstrawagancji, ma również piękne serce?

Harry spojrzał na nią.

- Zastanawiam się... skąd jesteś taka mądra?

- Po prostu się staram. - Owinęła bransoletkę dookoła nadgarstka.

- Opowiedz mi o nim.

- O nim?

- Nie chodzi o mężczyznę?

- Nie...

W tym momencie zrozumiał, że jest bezbronny. Liczył

na to, że wyrzuci z jej pamięci jakiegoś mężczyznę, lecz jak ma rywalizować z kobietą?

- Cóż, obiecałam - stwierdziła z pewnym żalem.

- Tak, i założę się, że nigdy nie złamałaś obietnicy.

- Raz. Tylko raz. Obiecałam Emmie, że jej nigdy nie opuszczę, lecz nie dotrzymałam słowa. - Odpięła bransoletkę. - Zamówiłam ją dla niej. Chciałam, żeby wiedziała, że nic się nie stanie, jeśli o mnie zapomni. - Zaciśnęła bransoletkę w dłoni. - Jej rodzina odesłała mi ten prezent z powrotem.

- Jej rodzina? - Wreszcie zrozumiał, że Emma to nie kochanka, tylko dziecko.

- Jak długo byłaś jej nianią? - zapytał szybko, by Jacqui nie odgadła jego myśli.

- Stanowczo zbyt długo... Harry, pytałeś, dlaczego porzuciłam uniwersytet. Zrobiłam to dla Emmy. Myślę, że jesteś jedyną osobą, która potrafi to zrozumieć.

- Biorę to za komplement.

- Bo tak jest. - Odwróciła się, jakby mówienie o tym było dla niej zbyt bolesne.

Gdy sięgała po kawę, złapał ją za rękę.

- Zostaw, już wystygła. Zaraz zrobię nową. Chyba że chcesz znów wygłosić kazanie, jak to niezdrowo pić kawę na noc.

Zdobyła się na uśmiech.

- Wystarczy, że muszę ci opowiadać historię mojego życia. To naprawdę trudne i równie męczące jak prawienie morałów.

- W takim razie zrobię coś na wzmocnienie. - Wziął butelkę brandy z tacy stojącej na kredensie. Jacqui była taka smutna. Chciał przygotować jej coś ze swego dzieciństwa.

Nie wypuszczając jej ręki ze swojej dłoni, przyrządził czekoladę z brandy.

- Dobrze! - powiedziała Jacqui, pociągając łyżeczek.

- Robiła mi to moja niania, żebym nabrał sił.

- Dawała ci brandy?

- Tylko odrobinę, do smaku. Musisz wypić wszystko, żeby zadziało.

- Wiesz, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś wielkim, złym olbrzymem, prosto z moich koszmarnych dziecięcych snów.

- Wiem. Usłyszałem, jak mnie opisujesz Vickie Campbell. Powinienem wtedy uciec.

- Uciec?

- Żeby uratować życie. Wszyscy wiedzą, jak marnie skończył olbrzym z bajki. - Roześmiała się i przytuliła do niego. Siedzieli chwilę w ciszy, popijając czekoladę. Harry czuł, jak opada z niej napięcie. Mógłby tak siedzieć i obejmować ją przez resztę życia, ale wiedział, że muszą stawić czoło demonom przeszłości. - Opowiedz mi o Emmie, Jacqui.

- Bardzo kocham dzieci. Moje siostry są ode mnie starsze, więc kiedy zaczęłam studia, każda z nich miała co najmniej synka lub córeczkę. Vickie Campbell zobaczyła mnie kiedyś z całą tą gromadką w parku i zaproponowała pracę „latającej niani” podczas wakacji.

- Jak wyglądało to latanie?

- Wzywano mnie w nagłych wypadkach. Wiesz, odeszła niania, matka wylądowała w szpitalu. - Opuściła wzrok na filizankę. - Albo umarła...

- Matka Emmy umarła?

- Wypadek samochodowy. Okropna tragedia. Jej mąż

nie mógł sobie z tym poradzić. Emma była taka malutka... I zła na matkę, że ją opuściła. Nie rozumiała, dlaczego. Zostałam z nimi całe wakacje. Zaczynała mnie akceptować, nabrała do mnie zaufania, a ja miałam wracać na uniwersytet. Nie wiedziałam, co zrobić. Zostawić ją, by po raz drugi w swym krótkim życiu straciła osobę, na której może polegać? Przecież już nigdy nikomu by nie zaufała!

- Rozumiem...

- Nie chciałam zająć miejsca jej matki, ale była już tylko twarzą na fotografii, nierzeczywistą jak anioł. I tak naprawdę stałam się matką Emmy. I ojcem, bo prawdziwy nie udzielał się zbytnio. Obiecałam jej, że nigdy jej nie opuszczę.

- Co się stało?

- David Gilchrist jest bogatym i wpływowym bankowcem. Byłam nianią Emmy przez cztery lata. Pewnego dnia jej ojciec przyprowadził do domu kobietę, którą poznał podczas podróży, i tak po prostu poinformował mnie, że zawarli ślub. Z równym spokojem oznajmił Emmie, że ma teraz nową mamę. Przestraszona Emma odparła, że chce tylko mnie, że to ja jestem jej mamą. To przesądziło o mojej sytuacji. Z miejsca zostałam zwolniona. Po kilku tygodniach Gilchristowie przenieśli się do Hongkongu.

- A bransoletka?

- Została zwrócona wraz z krótkim liścikiem, w którym proszą mnie, bym już nigdy nie kontaktowała się z Emmą. Żadnych prezentów na urodziny czy na święta. Żadnych kartek. Niczego. Macocha Emmy przesłała bransoletkę nawet nie do mnie, tylko do agencji.

- To było okrutne z ich strony.

- Myślę, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Pani

Gilchrist pewnie obawia się, że nie zdobędzie miłości Emmy, jeśli nie wymaże mnie z jej pamięci. Możliwe, że ma rację, a ja popełniłam wielki błąd, za który srogo zapłaciłam. Zapomniałam o pierwszym przykazaniu dobrej niani. Dziecko, którym się opiekujesz, nie jest twoje. Musisz być przygotowana na odejście.

Jacqui zamrużyła i łza spłynęła po jej twarzy. Harry otarł ją koniuszkiem palca.

- Nie ma reguł, kiedy pracuje się z dziećmi - powiedział w zadumie. - Kocha się je i nic nie można na to poradzić. Kiedy się je traci, to zawsze boli.

- Masz teraz drugą szansę z Maisie. Nie zmarnuj jej.

- Dzięki tobie.

- Myślę, że to wspólny wysiłek, Harry.

- Maisie cię potrzebuje.

Tylko Maisie?

- Czy teraz, kiedy już wykonałaś zadanie w stylu Mary Poppins - zapytał, starając się zapanować nad swoim głosem - zamierzasz lecieć do jakiegoś kurortu?

- Niby jak? Mój samochód odholowano, a Maisie obiecała mi, że spędzę tu wspaniałe wakacje.

- A co ty jej przyrzekałaś?

- Że zostanę, dopóki będzie mnie potrzebować. Nauczyłam się czegoś, Harry. Nigdy więcej obietnic na całe życie.

- Żadnych? - Stał naprzeciwko niej, przestraszony, niepewny. Uciekał tak długo. Teraz przyszedł czas, by się zatrzymać, powiedzieć, czego pragnie.

Pragnął Maisie.

Pragnął nowego życia.

Pragnął Jacqui.

- Czy ci mówiłem, że cię potrzebuję? - zapytał.

- Nie znasz mnie, Harry.

Dotknął jej policzka i potargał włosy, jak chłopiec, który pierwszy raz chce pocałować dziewczynę.

- Proszę cię o szansę. Zostaniesz?

- O co prosisz?

Odpowiedział najdelikatniejszym pocałunkiem.

- Wiesz, o co proszę.

Cisza, która nastąpiła, wydawała się nie mieć końca. Nagle trzasnęły kuchenne drzwi.

- Wołałam i wołałam o szklanek wody... Och! - krzyknęła Maisie, gdy zobaczyła ich w objęciach.

Jacqui nalała wody i podała dziewczynce.

- Idę już z tobą do sypialni. Musimy jutro wcześniej wstać.

Maisie nie lubiła, gdy ją popędzano. Piła powoli, a kiedy skończyła, ze zmarszczonym czołem popatrzyła na Harry'ego.

-Jakiś problem? - zapytał. Czyżby zmieniła zdanie w sprawie szkoły?

- Jesteś moim tatusiem, prawda?

- Prawda. - Głos uwiązał mu w krtani. Tak, od chwili jej narodzin był jej ojcem.

-I całujesz Jacqui. Czy to znaczy, że ona będzie moją mamusią?

- Już masz mamusię - szybko wtrąciła Jacqui.

- Nie. Mam matkę. To nie to samo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co to za różnica, Maisie?

Harry wyrwał się z tym pytaniem, nim Jacqui zdążyła zabrać małą na górę. Wiedziała, po jak cienkim lodzie stąpa. Jeden fałszywy krok oznaczał katastrofę.

Okłamywałyby siebie, twierdząc, że nie chciała, by Harry ją pocałował. Pragnęła tego od czasu spotkania przy stajniach, kiedy oglądał jej samochód. Wtedy mogli na siebie tylko patrzeć...

Takie porozumienie bez słów, odwieczne przyciąganie. Och, pragnęła czegoś więcej niż pocałunku, ale dobrze wiedziała, jak łatwo ulec emocjom. Wiedziała też, że to, co działo się między nimi, było czymś więcej niż przelotnym pożądaniem. Ale jakże łatwo mogła pomylić poczucie odpowiedzialności za Maisie z uczuciem do Harry'ego.

A Harry... Musiał mieć zamęt w głowie. Dziecko, które kochał, a potem stracił, bez żadnego ostrzeżenia wróciło do jego życia, wręcz nim zawładnęło.

To byłoby takie łatwe, gdyby nie Maisie... Panicznie jednak się bała, że znów pomyli role i po raz drugi boleśnie zrani małą dziewczynkę obietnicami, których nie spełni.

Oczywiście Maisie nie miała takich dylematów. Wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

- Mamusie coś robią. Na przykład znajdują kurczaki al-

bo gotują... I mają czas na zabawę. Moja matka jest ciągle zajęta, zawsze gdzieś pędzi. A Jacqui jest... - Maisie zastanowiła się chwilę. - Dotąd tylko w bajkach poznałam takie mamusie.

Harry zacisnął szczęki i rzucił:

- Jacqui uważa, że powinnaś być już w łóżku.

Maisie spojrzała na niego.

- Naprawdę, tatusiu?

- Naprawdę. - W mgnieniu oka złapał córeczkę w ramiona. - Pora do łóżka, skoro musimy wcześniej wstać... Pojedziemy na zakupy. Szkolna wyprawka, pamiętasz? Nadal jesteś pewna, że chcesz iść do szkoły?

Maisie chichotała, a instynkt podpowiedział Jacqui, żeby nie iść za nimi na górę. Zabrała tackę z biblioteki i umyła filizanki. Potem posprzątała w sieni, ustawiając buty we właściwym porządku.

Gdy Harry dłuższy czas się nie pojawiał, w końcu weszła na górę i zerknęła do pokoju Maisie. Dziewczynka już zasnęła podczas słuchania bajki. Harry siedział bez ruchu, nie mogąc oderwać od niej oczu. Patrzył na córkę z taką czułością i miłością, że Jacqui pogratulowała sobie wycucia. Potrafiła rozpoznać dobrego człowieka od pierwszego wejrzenia.

Po chwili, czując się jak intruz, wycofała się. Wykonała robotę, o którą ją proszono. Doprowadziła Maisie do bezpiecznej przystani. Czas, by odejść.

- Nie odchodź, Jacqui...

Zatrzymała się, zerkając do tyłu.

- Nie sądziłam, że mnie widzisz.

- Nie muszę cię widzieć. Czuję twoją obecność. - Harry podniósł się. Obrzucił Maisie ostatnim długim spojrze-

niem i dołączył w drzwiach do jej niani. - Nie odchodź, Jacqui.

Chciała spytać, skąd wie, co zamierzała zrobić, ale powstrzymała się. Od pierwszej chwili, kiedy tylko się poznała, czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

- Wszystko się zmieniło, Harry. Maisie już mnie nie potrzebuje. Ma teraz ciebie.

- A jeżeli powiem, że ja ciebie potrzebuję?

Przypomniała sobie, że nie dawała mu żadnych obietnic. Zresztą powinna być teraz w Hiszpanii... Harry potrzebował jej pomocy, ale zrobiła już wszystko, co miała zrobić.

- Mówisz jak typowy mężczyzna. Przyznaj, że nie umiesz sobie poradzić z zakupami.

Nie spuścił wzroku.

- Naprawdę?

- Zostanę jeszcze na chwilę. - To było głupie, wiedziała.

- Czy to obietnica?

Stał wystarczająco blisko, by mogła go dotknąć, pocłować. Ale nie zrobił żadnego zachęcającego gestu. Więc ona go zrobiła.

- To jest obietnica, Harry.

Jak długo trwa chwila? Kiedy każdy moment jest cenny, wydaje się trwać nieznośnie krótko.

Jacqui spędziła dzień z Harrym i Maisie na zakupach. Kupili wszystkie rzeczy do szkoły, a potem wstąpili na hamburgera.

Robiła, co mogła, by przekonać wszystkich do zdrowej żywności, ale Maisie chciała hamburgera, a Harry powiedział:

- Tylko ten jeden raz.

I nie było dyskusji.

Nie było również dyskusji, gdy Harry storpedował jej pomysł, by sam zaprowadził małą do szkoły.

- Pójdziemy oboje. Poznasz dyrektorkę, powiesz mi, co o niej myślisz. - Brzmiało to całkiem sensownie.

Kiedy filigranowa Maisie, ubrana w szarą spódniczkę i czerwony sweterek, odłączyła się od nich i wtopiła w tłumek dzieci, ich dłonie splotły się w ciasnym uścisku.

- Uda jej się, prawda? - szepnął Harry.

- Raczej należy się martwić o inne dzieci, bo z jej temperamentem. .. - Jacqui spróbowała się uśmiechnąć, a potem zamruwała, by powstrzymać łzy wzruszenia.

Może powinna ich opuścić tego pierwszego dnia, kiedy rozentuzjasmowana Maisie przybiegła ze szkoły?

- Było super! - oznajmiła. - A ty, Jacqui, jesteś w komitecie rodzicielskim. I zagram wróżkę w przedstawieniu na koniec semestru! Musicie usiąść w pierwszym rzędzie, żeby mnie dobrze widzieć!

Wtedy zadzwoniła siostra Jacqui, żeby dowiedzieć się, jak się bawi na wakacjach. Kiedy Jacqui wyjaśniła, co się stało, zrobiła jej wykład o tym, jak to pewne naiwne osoby niczego się nie uczą w życiu i wciąż dają się wykorzystywać.

Jacqui była wściekła.

Nie zostawała tu przecież na zawsze.

Tylko do końca szkolnego semestru. Musiała przecież obejrzeć Maisie w jej pierwszym szkolnym przedstawieniu, nie zamieniłaby tej radości na całe wino słonecznej Hiszpanii.

Potem zadzwoniła Vickie. Okazało się, że Selina Talbot przesłała ręką gorące przeprosiny i zgodę na to, by Maisie pozostała pod opieką Harry'ego.

- Nie musisz zostawać ani dnia dłużej, kochanie. Skontaktowałam się już z biurem podróży. Zorganizują ci lot na dzisiejsze popołudnie. Selina płaci za wszystko. Masz darmowy miesiąc wakacji!

- To miło z jej strony, ale myślę, że w tym roku daruję sobie Hiszpanię. Podoba mi się tutaj.

- Nie możesz tam zostać!

- Nie mogę?

- Selina była niezadowolona, że zostałam. Nie zapłaci ci za ani jeden następny dzień.

- Vickie, kochanie, mogę robić, co mi się żywnie podoba. Nie pracuję ani dla ciebie, ani dla Seliny Talbot. - Jacqui rozłączyła się.

Rozejrzała się. Harry powinien tu gdzieś być. Stał, oparty o drzwi; w jego oczach czaił się uśmiech. No, prawie uśmiech.

- Tylko do końca semestru - powiedziała sztywno. - Nie mogę opuścić szkolnego przedstawienia.

- Maisie będzie szczęśliwa.

A ty, Harry? - dopytywała się w duchu.

Nic więcej nie powiedział. Nie zaczął jej. Nigdy więcej nie wyciągnął do niej ręki. Nie zaproponował filiżanki gorącej czekolady.

Po prostu był wszędzie obecny. Codziennie rano odwoził je do szkoły, choć sama mogła to zrobić, ponieważ jej bezcenny samochód stał naprawiony w garażu, a wszystkie dziury w jezdni zostały załatane.

Uczestniczył we wszystkich posiłkach, pchał wózek w supermarkecie, a nawet gotował, kiedy tylko przyszła mu na to ochota.

Nie znikał zaraz po kolacji, tylko pomagał w sprzątanii.

Rozmawiał z Maisie. Parzył kawę. Uczestniczył w rytualnych kąpielach i czytaniu do poduszki.

Dużo spacerowali. Harry dostosowywał swoje kroki do małych nóżek Maisie i uczył ją nazw dziko rosnących kwiatów, drzew, przelatującego ptactwa.

Jacqui myślała, że ten specjalny czas będzie chciał zachować tylko dla siebie i Maisie, więc usuwała się w cień, ale zawsze nalegała na jej obecność.

A kiedy Maisie już spała, zasiadali w bibliotece przy kominku, czytali i słuchali muzyki.

Maisie miała rację. Samotny Szczyt był wspaniałym miejscem, zwłaszcza teraz, gdy mgły wyparowały i błękit nieba podkreślał piękno doliny. Wszędzie kwitły żonkile, na łąkach pasły się owce.

Nie chciała stąd wyjeżdżać.

- Dostałem maila od ciotki Kate - oznajmił pewnego poranka.

To był ostatni dzień w semestrze i jechali na szkolne przedstawienie. Żadne z nich nigdy nie wspomniało, że pobyt Jacqui dobiega końca, ale ona spakowała już swoją torbę.

- Powiedziała, kiedy wraca?

- Nie. Polubiła Nową Zelandię, dobrze jej z siostrą. Zostaje na zawsze.

- Och! - Dopiero po chwili zorientowała się, co to oznacza. - Czy... sprzeda dom? Czy będziesz musiał się wyprowadzić?

- Czy to cię martwi?

- Mnie? Dlaczego pytasz?

- To dla mnie ważne. Chcę wiedzieć, co czujesz.

- Maisie kocha to miejsce.
- To jest argument... ale co z tobą? Czy ty również kochasz Samotny Szczyt? - Uśmiechnął się lekko. - Oczywiście z wyjątkiem kurczaków.
- Przyzwyczaiłam się do nich - odparła ostrożnie. - Co się stanie ze zwierzętami, jeśli wyjedziesz?
- Nie odmówię sobie przyjemności poinformowania Sally, że musi znaleźć nowy dom dla tych nieszczęsnych osłów.
- Usiłowała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało.
- Cudownie się tu żyje, Harry, ale o magii miejsca decydują ludzie. To oni tworzą specjalny klimat swymi uczuciami, marzeniami i wspomnieniami.
- Też tak myślę.
- Co będziesz robił, jeśli stąd wyjedziesz?
- Prawidłowe pytanie brzmi: co będę robił, jeśli tu zostanę?
- To też.
- Myślę o otwarciu praktyki lekarskiej w wiosce. Kiedy powstaną nowe domy, będzie więcej pacjentów.
- A więc odpowiedziałeś na moje pytanie. To jest twój rodzinny dom. Maisie jest twoją rodziną. Jest tu mnóstwo pokoi dla jej matki, gdyby...
- Gdyby potrzebowała kilku nowych fotek do kolorowego magazynu?
- Chciałam powiedzieć, gdyby miała przypływ macierzyńskich uczuć. Jestem pewna, że Sally kocha Maisie na swój sposób.
- Tak. Oczywiście, że kocha... O Boże! Powinniśmy wyruszyć wcześniej!

W wiosce panował straszliwy tłok, nawet na parkingu

przy pubie nie było miejsca. Harry cudem upchnął landrowera przed kościołem. Potem spojrział na Jacqui.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Harry...

- Ponieważ powiedziałaś, że nie miejsca, ale ludzie są najważniejsi, muszę cię spytać, czy zostaniesz. Zostaniesz, Jacqui?

Na szczęście z opresji wybawiła ją komórka.

- To chyba... agencja - wyjąkała, szperając w torebce.

- Dzwoniłam do nich, prosząc, by znaleźli coś dla mnie na następny tydzień...

- Rozpakuj torbę, Jacqui. - Zabrał jej telefon, nim zdążyła zerknąć na wyświetlacz. - Nie potrzebujesz okresowej pracy. Składam ci propozycję na resztę twojego życia. Musisz tylko powiedzieć „tak”. Ale jeszcze nie teraz. - Wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi pasażera. - Chodź - powiedział, stawiając ją na ziemi, jakby była piórkiem. - Maisie nam nie wybaczy, jeśli się spóźnimy.

Dobrze, że pomógł jej wysiąść. Nogi jej się tak trzęsły, że nie byłaby w stanie dokonać tego sama.

Zostać? Na resztę życia?

Przedstawienie wypadło wspaniale. Maisie w stroju wróżki, ze skrzydełkami i różdżką, zrobiła prawdziwą furorę.

Minęły wieki, zanim mogli w końcu wyjść. Przy pożegnaniu Harry zapraszał wszystkich na wielkanocne śniadanie do Samotnego Szczytu. Maisie była tym tak podniecona, że przez całą drogę do domu gorączkowo domagała się szczegółów. Czy to będzie duże przyjęcie? Czy Jacqui upiecze ciasto? Czy wszyscy przyjdą?

Kiedy dojechali na wzgórze, Jacqui była zupełnie wyczerpana.

To nie było fair. Harry zapędził ją w kozi róg. Jeśli chciał, by została, żeby opiekować się dzieckiem, mógł po prostu to powiedzieć. A ona mogłaby odmówić.

- Chyba mamy gości - zauważył Harry. - Brama jest otwarta.

- Kto...? - Wyskoczyła z landrowera, zanim zdążył zahamować, i porwała w ramiona małą dziewczynkę, która podbiegła do niej z rozwianymi, jasnymi włosami.

- Emma! Kochanie! Co tutaj robisz?

Wtedy dojrzała Gilchristów, którzy stali przy swoim samochodzie. Wyglądali na zdesperowanych. Już wiedziała, dlaczego przyjechali. W jednej chwili pojęła, że ma tylko jedną odpowiedź na pytanie Harryego.

Chciała zostać, ale teraz musiała spełnić dawną obietnicę.

Postawiła Emmę na ziemi, chociaż dziewczynka ciągle czepiała się jej ręki, i poprosiła Maisie, by pokazała jej kucyka.

Gdy dzieci odeszły, przedstawiła Gilchristów.

- Harry, to są Jessika i David Gilchristowie. Pracowałam dla Davida jako niania Emmy.

- Jacqui mi o was opowiadała - rzekł uprzejmie, ale jego uśmiech nie zmyliłby nikogo, kto go znał. - Proszę do środka. W kominku w bibliotece pali się ogień, rozgoście się, a ja zrobię herbatę.

Pani Gilchrist wyglądała na załamana.

- Jacqui - jęknęła, gdy Harry się oddalił - popełniłam okropny błąd. Czy kiedykolwiek mi przebaczysz?

- Oczywiście. Nie musiałaś się fatygować tak daleko, by mnie o to spytać. Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?

- Pani Campbell nam powiedziała. Zobowiązała się, że zadzwoni i uprzedzi cię o naszym przyjeździe.

- Wyłączyłam komórkę. Byliśmy na szkolnym przedstawieniu Maisie.

- Tak wspaniale radzisz sobie z dziećmi...

- Nie ma w tym nic trudnego, Jessiko. Dzieci są ludźmi, takimi samymi jak my. Wystarczy tylko o tym pamiętać, a reszta przychodzi sama.

- To takie proste, kiedy o tym mówisz. Emma... - Potrząsnęła głową, wpatrując się w swoje dłonie. - Nie mogę sobie z nią poradzić. Nienawidzi mnie. Proszę cię, błagam, wróć do nas! Powiedziała mi, że jej obiecałaś, że zawsze przy niej będziesz, gdy będzie cię potrzebować. - Urwała, przestraszona, jakby przekroczyła jakąś niewidzialną granicę. - Dostaniesz własne mieszkanie, samochód do dyspozycji, zapłacimy za wszystko, czego zażadasz. Hongkong to piękne miejsce...

Jacqui przykryła jej dłoń swoją.

- Czy myślisz, że po tym, czego doświadczyłam, mogłabym kiedykolwiek zrobić to znowu dla pieniędzy?

Zmieszana Jessika podniosła oczy.

- Ale przecież jesteś tutaj. Pani Campbell powiedziała, że to przejściowe zajęcie. Oferujemy ci dobrą, stałą pracę...

- Słyszała pani, pani Gilchrist? Jacqui nie jest do wynajęcia. Bez względu na to, co powiedziała pani Campbell, Jacqui nie jest nianią Maisie.

Wszyscy troje obrócili oczy na Harryego, który stał w drzwiach z tacą.

- Więc kim jest? - zażądał wyjaśnień David Gilchrist.

- Dla Maisie jest jej prawdziwą mamą. Dla mnie... - popatrzył prosto na Jacqui - jest światłem w długim, ciem-

nym tunelu. Ciepłem wśród mroźnej zimowej nocy. Ukoniem. Radością. Po prostu wypełnia mi świat.

- Rozumiem - rzekł niepewnie David Gilchrist.

- Nie, Gilchrist, niczego pan nie rozumie - powiedziała Harry miękko.

- Tracimy niepotrzebnie czas, Jessiko. Setki niań poszukują pracy.

- Czy pan się niczego nie nauczył? - zapytał Harry z nie-naturalnym spokojem. - Opiekowanie się dzieckiem nie jest zwykłą pracą.

David Gilchrist podniósł się i wziął żonę za ramię.

- Idziemy! - rzucił.

Jacqui zerwała się na nogi.

- Nie! Poczekajcie! - Obrzuciła Harryego błagalnym spojrzeniem. - Harry, czy możesz zabrać Davida i przypilnować dzieci? Muszę porozmawiać z Jessiką.

- Myślałem, że chcesz z nimi odjechać.

- Dlatego, że obiecałam? - Jacqui wychylała się za bramę, żeby zobaczyć, jak samochód Gilchristów pokonuje ostatni zakręt i ostatni raz pomachać Emmie. Potem spontanicznie sięgnęła po jego rękę. Przytrzymał ją, jakby nigdy nie chciał jej puścić.

- Dlatego, że obiecałaś - odparł.

- Emma mnie nie potrzebuje. Ma już swoją mamusię. Kogoś, kto się o nią troszczy, ponieważ ją kocha. David Gilchrist jest zamożny, młody. To było nieuniknione, że się ponownie ożeni...

- Mając ciebie tak blisko, doprawdy nie wiem, czego jeszcze szukał.

- Och, przestań! - Zaśmiała się. - Byłam tylko nianią do

wynajęcia. Pewnie pomyślał, że znalazłam wreszcie kogoś na swoim poziomie. Zaraz, jak on cię nazwał?

- Wiejskim dżentelmenem?

- Nie poprawiłeś go.

- A po co? Zresztą nieważne... A więc Emma jest szczęśliwa? Czy bransoletka zastąpi jej utratę ciebie?

- Nie straciła mnie. Teraz to rozumie. Po prostu musiała wiedzieć, że jej nie opuściłam, Harry. Biedna Jessika wpadła w panikę. Myślała, że musi wymazać mnie z jej życia, żeby Emma mogła ją pokochać. Nie rozumiała, że miłość dziecka nie zna granic.

- To takie proste?

- Nie. To zajęło nam sporo czasu. Ale wreszcie wyjaśniłam jej, że może zadzwonić do mnie o każdej porze, żeby pogadać.

- Z Hongkongu?

- Mogą sobie na to pozwolić.

- A co powiedziałaś Emmie?

- Że zawsze będę ją kochać. Że zawsze będę blisko, kiedy mnie będzie potrzebować. Nie muszę mieszkać w tym samym domu ani nawet w tym samym kraju. Wystarczy podnieść słuchawkę telefonu.

- Powiedziałaś, że może dzwonić zawsze?

- Zrobiłam więcej, Harry. Powiedziałam, że może przyjechać i spędzić tu wakacje. Zgadzasz się?

Czy się zgadzał? To przecież oznaczało, że Jacqui tu będzie. ..

- Martwię się tylko o to, czy zostaniesz. Przez moment myślałem, że cię straciłem.

- Naprawdę? - spojrzała w jego oczy, twarde jak skała.

- Pozwoliłbyś mi odejść?

- Nie, najdroższa. Gilchristowie oferowali ci pracę. Ja ofiaruję ci całe moje życie. Wszystko, co mam.

- Opowiedz mi o naszej przyszłości, Harry. - Głos uwiązał jej w krtani. - O reszcie naszego życia.

- Żywot żony wiejskiego doktora nie jest do pozazdrosczenia. To nie to samo co luksusowe życie w Hongkongu.

- Dostał kuksańca w ramię. - Przecież wiem, jak nie cierpisz kurczaków...

- Przyzwyczaiałam się do nich, ale, wybaczyć, czy to propozycja nie do odrzucenia?

- Mam paść na kolana?

Spojrzała w dół. Błoto nadal zalegało na podjeździe.

- Może zostawimy to na później?

Objął ją ramieniem i zawrócili do domu.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, kochanie?

- Wiesz, nie cierpię tego napisu na bramie: „Wstęp wzbroniony”.

- Już biore śrubokręt.

- A moglibyśmy hodować kozę?

- Kozę? - Zaśmiał się. - Czy próbowałaś kiedyś koziego mleka?

- Nie, ale w każdym małym gospodarstwie jest przynajmniej jedna koza.

- Skąd wiesz, że to małe gospodarstwo?

- Dwa pola na krzyż, pięć osiołków, jeden konik i... pogubiłam się... Ile kurczaków i królików?

Zatrzymał się.

- Spójrz dookoła. Na wierzchołek wzgórza, tak daleko jak sięgasz wzrokiem na lewo i na prawo. A potem w dół, do głównej drogi.

Oczy jej zapłonęły.

- To wszystko należy do majątku? Ale tam jest przecież wioska.

- Kiedyś należała, do posiadłości. Mój dziadek dał prawa własności mieszkańcom pięćdziesiąt lat temu. Większość ziemi jest wydierżawiona farmerom.

- Ależ to jest ogromna posiadłość! Czy zdołasz wykupić ją od ciotki?

- Przy obecnych cenach byłoby trudno, ale kupiłem ją od niej dziesięć lat temu, kiedy chciała sfinansować karierę Sally.

- Ale ciotka Kate tu została?

- Nic się nie zmieniło, tylko prawny właściciel. Dałem jej pełnomocnictwo, by zarządzała wszystkim, tak jak dawniej. Muszę przyznać, że wykonała kawał dobrej roboty. Niedawno odkryłem, że zapewniła mi fortunę, sprzedając tereny przylegające do wioski pod nowe domy. Wioska się rozwija i będzie ich coraz więcej. Będę musiał przekazać dodatkową kwotę ciotce, tak będzie sprawiedliwie.

- Uśmiechnął się. - Ciągłe chcesz mieć kozę?

- Lepiej zamienię ją na nowego kucyka dla Maisie. Takiego, który nie wyzionie ducha, kiedy go dosiądzie. A Krówka niech dożywa swych dni w spokoju.

- Możemy jej kupić kucyka na urodziny.

My. Jacqui pomyślała, że to najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszała. Wzięła go pod rękę.

- Doskonale - odrzekła.

- Maisie pewnie chciałaby mieć rodzeństwo, braciszka, siostrzyczkę, potem znów braciszka...

Zerknęła na niego.

- To długoterminowe plany.

- Ale możemy już zacząć, prawda? - Wziął ją w ramiona.

- Zacząć planować. Najpierw musimy ustalić dzień ślubu.
- I dodał po długim pocałunku, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego uczuć: - Nie czekajmy z tym za długo.

Czerwiec, trzeba przyznać, to najlepszy miesiąc na wiejskie wesele. Kościół został udekorowany przepięknymi kwiatami. Zadbała o to, co prawda na odległość, Selina Talbot. Poślubiła w końcu swojego miliardera i nie przerwaby miodowego miesiąca dla nikogo, nawet dla Maisie, która miała pełnić rolę druhny.

Małe druhny, Maisie i Emma oraz siostrzenice Jacqui, w diademach z kwiatów wplecionych we włosy przyjechały do kościoła dwukołowym wózkiem, ciągniętym przez dzielnego, małego kuczka.

Jacqui dołączyła do nich parę minut później wraz z ojcem w zaprzęgu przystrojonym kwiatami z żywopłotu.

- Naprawdę nie gniewasz się na mnie, że nie wyruszam na ślub z rodzinnego domu? - spytała.

Ojciec uściśnął jej dłoń.

- To jest twój dom, Jacqui. Nigdy nie widziałem cię bardziej szczęśliwej.

- Dzięki, że zostaniecie tu z mamą, by zaopiekować się Maisie, kiedy wyjedziemy.

- To jest magiczne wzgórze, kochanie. Spędzimy tu swoje najlepsze dni.

Wprawdzie przysięgi „miłości aż do śmierci” były zwykle uroczyste, wypowiedziane nie tylko odwiecznymi słowami, lecz także oczami, sercami i duszami, za to zabawa nie miała w sobie nic z oficjalnego ceremoniału.

Po prostu wydano weselne śniadanie. Potrawy wyłożono na stołach w ogromnym namiocie, ustawionym na najbardziej płaskim trawniku posiadłości i każdy obsługiwał się sam. Tańce zaś niczym nie przypominały tych z młodzieżowych dyskotek. Kapela skrzypków grała gige i szkockie melodie, których nie wytrzymałby żaden nastolatek.

Przyjęcie trwało jeszcze długo po zniknięciu głównych bohaterów, którzy rozpoczęli nie tylko swój miodowy miesiąc, lecz także długie następne miesiące i lata, by rozkoszować się sobą, miłością i wszystkimi codziennymi sprawami.

Najlepiej podsumowała to właścicielka sklepu, która, wypiwszy kilka kieliszków szampana, powiedziała do żony pastora:

- Moja droga, wygląda na to, że po długiej zimie do naszej wioski znów wróciło życie.